

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki – ciąg dalszy

Na kartach pamiętnika znajdujemy bardzo interesujące opisy czynności gospodarskich, wśród nich na uwagę zasługują te najbardziej pracochłonne, które decydowały o zapewnieniu egzystencji rodziny przez cały rok. A więc zbiór plonów – żniwa i wykopki ziemniaków. Proste, prymitywne narzędzia, którymi się posługiwano, czyniły te prace wyjątkowo trudnymi i uciążliwymi. Całe rodziny w różny sposób brały w tym udział. A oto jak opisał je Dominik.

Żniwa

Na 2 tygodnie przed żniwami wspólnie ze strykiem Józefem, zabili wieprza i podzielili się mięsem. Macocha ze stryjenką Franciszką przygotowały kaszanekę i kielbasę, a słoninę i boczek zamarynowały. W pierwszej kolejności na śniadanie użyto kaszanekę, której długo nie można przechowywać, za nią poszły kielbasy, na koniec zabraliśmy się do konsumpcji boczku i słoniny. Wczesnym rankiem każdy z rodziny dostał kawałek odgrzewanej kaszanki lub kielbasy z chlebem (oczywiście razowym) na śniadanie, popijając przegotowanym mlekiem. Ze słoniną było trochę inaczej. Każdy ze żniwiarzy dostał po większym kawałku obgotowanej słoniny. A, że tłusta – nie szkodzi. Pięknie pachniała i dobrze smakowała – tylko palce lizać. Przy dużej pracy pełnej ruchu żołądek doskonale trawił – dając organizmowi dużo kalorii, ciepła i siły.

Macocha przed wyjściem razem z nami w pole przygotowała z grubsza obiad, który babcia później dokończyła. Jeżeli żęliśmy blisko domu, to przychodziliśmy do mieszkania, jeżeli gdzieś daleko koło piorunowego dołu i starego gościńca, to macocha przychodziła do domu i przynosiła obiad na pole, aby nie tracić drogiego czasu.

Obiad taki konsumowaliśmy siedząc na miedzy. Jeżeli w którejś z rodzin było małe dziecko, to matka szła ze żniwiarzami w pole. Małeństwo umieszczano w rozwieszanej w rodzaju hamaku płachcie, uwieszanej końcami do gałęzi gruszy, jeżeli była w pobliżu, lub do półgrabków drabiniastego wozu. Dziecko sobie spało w cieniu na świeżym powietrzu. Matka mniej więcej co 2 godziny przerywała pracę, aby małego „żniwiarza” nakarmić. A jeżeli było mokro, to mocz przeciekał przez płótno płachty, a wiatr i słońce prędko suszyły. Mój ojciec nigdy do zbioru zboża nie używał kosy, gdyż uważał, że „garście” ułożone na ziemi brzydko wyglądają, słoma potargana i dużo ziarna wypada bezużytecznie na ziemię, a do tego dobry i oszczędny gospodarz nie może dopuścić. Tak więc na pole i do domu każdy wracał ze swoim sierpem. A sierpy były ostre, bo kowal Kajetan Grabowski w mieście robił sierpy ręcznie i ostrzył

na toczaku. Takiego majstra w całej okolicy nie było. Wszystkich w ciągu paru tygodni musiał obsłużyć. Mój sierp wybrany specjalnie dla mnie jako początkującego żniwiarza był stary, lekki i dobrze uzębiony, wspaniale ścinał zboże, nie pozostawiając z tyłu żniwiarza żadnych muzykantów (źdźbeł nieściętego zboża), jak to nazywano w języku żniwiarskim. Jeżeli ojciec zauważył takich muzykantów kazał wracać i uciąć źdźbła zboża i położyć na garściach. Dodać należy, że mój rejon do zżęcia był dużo mniejszy od zagonów dorosłych żniwiarzy. Żąłem zboże ostatni w rzędzie, aby nie hamować pracy innych żniwiarzy. Ojciec zręcznie żął zboże na przedzie i w ten sposób regulował tempo pracy. Wyglądało to jak klucz żurawi z przewodnikiem na czele.



Żniwa – lata międzywojenne XX w.

W pierwszych dniach pracy odczuwałem straszny ból w krzyżu od ciągle pochylonej postawy. Często kłękałem i w tej pozycji żąłem, ale to nie podobało się ojcu – niszczyłem spodnie na kolanach. Pozostawanie w tyle to wielki wstyd dla żniwiarza. Od czasu do czasu spoglądałem na macochę, jak sobie radzi w żniwie. Z przyjemnością stwierdziłem, że jest doskonałą żniwiarką. Po kilku dniach dobrej pogody zboże wyschło i należało je zwozić do stodoły. Żyto powiązane w snopy i ułożone w mendlach leżało na polu dłużej. To praca była urozmaicona. Podawałem ojcu snopy, które starannie układał na furze drabiniastej, aby w czasie przewozu nie wysunęły się i nie spadły z wozu na ziemię. Po napełnieniu [fury] zbożem z pomocą ojca wdrapywałem się na snopy i jechaliśmy ze zbożem do stodoły. Ja zrzucałem po jednym snopie, a ojciec starannie układał je w zapolu. Po opróżnieniu wozu znowu wracaliśmy na pole po drugą partię. A macocha [...] wraz z Chomiczką, która w czasie żniw pracowała u nas, odrabiając należności za orkę, wysiew i zwózkę zboża ze swojego pola mojemu ojcu (swojemu wujkowi). Po zwiezieniu żyta, jęczmienia, owsa, pszenicy przyszła

kolej do zbierania rzepaku i prosa. Przy sprzątaniu z pola tych dwóch ostatnich zbóż należało zachować daleko idące ostrożności, ze względu na to, że przy gwałtowniejszym ruchu obficie wypadały nasiona z łuszczyzny rzepaku i kiści prosa. Aby uniknąć strat ojciec przed układaniem rozpinał na wozie płachty, a na nie układał plony. Z powyższej przyczyny nie można tych zbóż układać w zapolu, a z miejsca należy je młócić.

Młocki

Bardzo dokładnie i czysto zamietliśmy „boisko” i złożyliśmy w jego kącie suchy rzepak. Ojciec widłami prznosił to zboże i cienką warstwę układał przy pustej ścianie stodoły. Ponieważ tego rzepaku było niedużo, więc młocka trwała zaledwie kilka godzin. Po oczyszczeniu nasion z plew połówek łuszczyzn, zsywał do worka i umieścił w spichlerzu. Na drugi dzień przystąpiliśmy do żęcia prosa na kopaniu między lasami. Zbiór i zwózkę przeprowadziliśmy podobnie jak to było z rzepakiem, z tą różnicą, że prosa było więcej (2 fury). Złożyliśmy na boisku przy ścianie, za którą były poprzednio złożone snopy zbóż. Z młóceniem było znacznie więcej kłopotu. Ojciec sporządził dla mnie małe lekkie cepy. Ojciec wziął 3 snopy prosa, rozwiązał je i rozłożył wzdłuż ściany cienką warstwą odziemkami skierowanymi do ściany, a kłosami do środka boiska. Ojciec ze swoimi cepami stanął po prawej stronie, a ja ze swoimi po lewej w odległości 1 m od niego. Uderzaliśmy kolejno bijakami w rozłożone

w swoim czasie była pocięta na sieczkarni na paszę dla bydła. Razem z ziarnem były pocięte puste kłosa i słoma. Za pomocą grabi te odpadki zostały usunięte, a czyste ziarno zgarnięte na bok. Po zakończeniu młocki ojciec oczyścił ziarna od plew pożyczonym młynkiem (własnego nie miał). Następnymi czynnościami było suszenie ziarna na rozłożonych płachtach na słońcu i zsypywanie do beczki. Przez noc niewymłócone snopy prosa odwilgły i nie dały się młócić bez straty ziarna. Aby tego uniknąć, wynosiliśmy ostrożnie snopy i ustawialiśmy na rozpostartych płachtach na słońcu do wyschnięcia, a potem znowu braliśmy się do młocki. Na zakończenie tej procedury ojciec w proso w beczkach powtykał pionowo grubsze suche kije, aby ziarna nie zapleśniały, nie zbutwiały przez okres przechowywania w spichlerzu.

Kopanie kartofli

Kopanie kartofli jest ważną, a jednocześnie ciężką pracą w gospodarce rolnej. Dzięki obfitemu nawożeniu i racjonalnej pielęgnacji kartofle się udawały, dużo [ich] było pod krzakiem. Zabraliśmy się dość wcześnie do pracy, w efekcie czego za nami po kilku godzinach na kartoflisku stały worki z kartoflami, czekając na zwiezienie do specjalnego dołu (piwnicy jeszcze ojciec nie wybudował). Ojciec i ja przerwaliśmy kopanie i przystąpiliśmy do układania worków na wozie (zamiast drabin były umocowane drągi, układaliśmy worki poprzecznie na drągach). Z układaniem była poważna trudność, gdyż ja nie mogłem jako młody chłopiec utrzymać worka przemieszczanego przez nasze lewe ręce (podane sobie jakby na przywitanie) i upuściłem worek na ziemię. Z pomocą przyszła nam Chomicka. Ruszyliśmy w stronę domu. Przy wyładowaniu nie miałem większych trudności. Ojciec rozwiązażył worek, wsypał zawartość do dołu.

Ta część pracy była niełatwa, ale urozmaicona. Trudne było kopanie kartofli motyką, cały czas w nachylonej pozycji. Bardzo mnie bolał krzyż, nie wyłączając rąk od trzymania motyki i odwalania ziemi z krzakiem. Przy tej pracy postawa kłęcząca, jaką czasem stosowałem przy żniwach, była wykluczona. A kopanie kartofli trwało długo, nawet więcej niż dwa tygodnie. Kiedy ojciec zappełnił dół kartoflami, resztę zbioru zakopywałem w ogrodzie, ciesząc się dobrym urodzajem. Kartofle w rolnym gospodarstwie obok chleba mają zasadnicze – ważne znaczenie dla ludzi i zwierząt hodowlanych. O tym ojciec dobrze wiedział. Nie mogło być dnia bez użycia kartofli przy sporządzeniu zup, na przyrządzenie drugiego dania, smażenia na oleju rzepakowym, lnianym lub konopnym placków kartoflanych. Hodowla świń była nie do pomyślenia bez użycia kartofli i mąki jęczmiennej. Tak samo można powiedzieć o hodowli kur, kaczek, gęsi. Bydło, a nawet konie chętnie i z pożytkiem zjadały sieczkę zaprawianą gotowanymi kartoflami. Rzadko ojciec sprzedawał nadmiar kartofli.



Wykopki – ks. proboszcz Jan Łazicki błogosławi świeżo wykopane ziemniaki

proso po kiściach z szybkością 4 uderzeń na 5 sekund, posuwając się od prawej strony ku lewej, doszedłszy do końca wracaliśmy w odwrotnym kierunku, uderzając na lewo, bijąc po odziomkach przy ścianie. Teraz należało tak przemłócone zboże na drugą stronę podgrabić, na warstwę pociętą rozrzucone kłosa i powtórzyć kolejno poprzednie czynności. Następnie ojciec po kolei brał garść słomy i potrzasał nią, aby ze słomą nie zabrać ziarna, układał tak „prośniankę” na powróśla z żytniej słomy i wiązał jeden większy snop z 3 snopków prosa. Ta słoma

Wybrał i do druku przygotował
Tadeusz Surdacki

Kazimierz Cieśliski

Urzędów sprzed pół wieku

Kiedy sięgnę pamięcią wstecz do okresu wczesnej mojej młodości sprzed pół wieku, to jest początku lat trzydziestych, jakże wielką różnicę widzę w wyglądzie miasteczka, umysłowości jego mieszkańców, zwyczajach i obyczajach.

Wygląd miasteczka

Rozległy rynek wybrukowany był „kocimi łbami” (grubym brukiem), po którym z głośnym turkotem przejeżdżały chłopskie wozy o drewnianych kołach okutych żelaznymi obręczami. Środkową częścią rynku był pusty plac bez jednego drzewa czy krzewu, w części południowej nieco wgłębiony z powodu wypłukania gruntu przez deszcz. Na środku rynku stała pompa używana przez okolicznych mieszkańców do pobierania bardzo smacznej wody. Po rynku chodziły kury, gęsi, szły krowy do wodopoju. Nieliczne małe uliczki otaczające rynek miały powierzchnię nie utwardzoną; wiosną i jesienią tonęły w błocie. Połączenia ze światem, z wyjątkiem telefonu, Urzędów nie miał. Żyd Majsiuli co drugi dzień jeździł wozem konnym do Kraśnika, woził pocztę i dodatkowo, za opłatą, zabierał pasażerów.

Gdy rzadko kiedy na rynku pojawił się samochód, wtedy obstępowała go chmara dzieci przyglądając się takiemu cudowi, który sam jedzie bez pomocy koni. Domy w rynku i przyległych uliczkach były ubogie – przeważała zabudowa drewniana. Były to domy, domki, przybudówki, w których gnieździła się przeważnie żydowska biedota. Okazalsze były kamienice: Bijasiewicza, Jacniackiego i urzędu gminy. W obrębie rynku strzech na budynkach nie było, ale już w przyległych uliczkach stodoły, obórki i chlewiki kryte były wyłącznie słomą.

Przedmieścia biegnące wzdłuż rzeki Urzędówki miały wiejski charakter, posiadały przeważnie nawierzchnię dróg nie utwardzoną, jesienią i wiosną tonęły w błocie. Zabudowa ich, poza nielicznymi wyjątkami, była wyłącznie drewniana. Budynki były kryte strzechą. Budynki gospodarcze przylegały do siebie strzecha w strzechę, nic więc dziwnego, że gdy wybuchł pożar potrafił strawić zabudowę na przestrzeni pół kilometra.

Budownictwo w Urzędowie charakteryzowało się tym, że chaty drewniane miały wysokie, czterospadowe dachy oraz obowiązkowo podsienia. Przykładem takiego budownictwa był dom Nikodema Gozdalskiego z przedmieścia Rankowskiego, obecnie przeniesiony do skansenu w Lublinie. Za domem była usytuowana tzw. mała obórka, inaczej okólnik. Był to czworokąt niewielkich budynków drewnianych, krytych strzechą. Tu hodowano trzodę chlewną oraz drób. Za małą obórką stały dopiero właściwe chlewy i stodoła.

Podczas I wojny światowej w 1915 r. Urzędów został spalony. Ocalała jedynie część Bęczyna oraz przedmieście: Mikuszewskiego, Rankowskiego, Gór. I właśnie tam zachował się jeszcze ten układ zabudowań.

Oświata

Spora ilość starszych ludzi, przeważnie kobiet, miała bardzo słabą umiejętność czytania i pisania. Młodzież uczyła się w 7-klasowej szkole powszechnej, nie posiadającej własnego lokalu, a mieszczonej się w wynajętych domach Bijasiewicza i Roli oraz na plebanii. Na Bęczynie i przedmieściu Rankowskim, we własnych skromnych lokalach, mieściły się szkoły dla klas od I do IV. Do szkoły w okresie letnim większość dzieci chodziła boso. Dzieciom naukę utrudniał obowiązek wypasania krów, tzw. pasionka. Była to zhora całego dzieciństwa. Nie można się było pobawić z kolegami lub pograć w piłkę. Pasionka odbywała się rano i po południu, bez względu na pogodę, po kilka godzin. Dziecko nim poszło do szkoły musiało jeszcze krowy napaść, więc o której musiało wstać rano? Dzieciom nie dano spać długo. Nie wiem czy tak było wszędzie. Ale ja tak miałem w domu. Gole nogi dzieci były pokaleczone do kolan przez ostre żdźbła słomy szczególnie na ścierniskach.

Ubiory

Mieszkańcy Urzędowa ubierali się jak wszędzie w kraju. Dawny piękny strój ludowy męski zaginął. W tych stronach była to sukmana koloru bławatu oraz rogatywka tego samego koloru obszyta barankiem. Jeszcze tylko nieliczni chłopcy z Wilkołaza chodzili w tych strojach i występowali w nich w święta narodowe podczas defilady w Urzędowie. Kobiety nie nosiły strojów ludowych. Do regionalnych strojów ludowych można było zaliczyć noszone przez mężczyzn latem – „maciejówki” czyli czapki okrągłe z małym daszkiem płytke, niebieskie, a zimą – „baranice” ze sztucznego barana czyli czapki watawone, stożkowate, bez nauszników i daszka. Podobno marszałek Piłsudski przejął z Urzędowa maciejówkę z okresu pobytu Legionów w Urzędowie. Jeszcze obecnie spotyka się starszych mężczyzn w maciejówkach.

Drogi

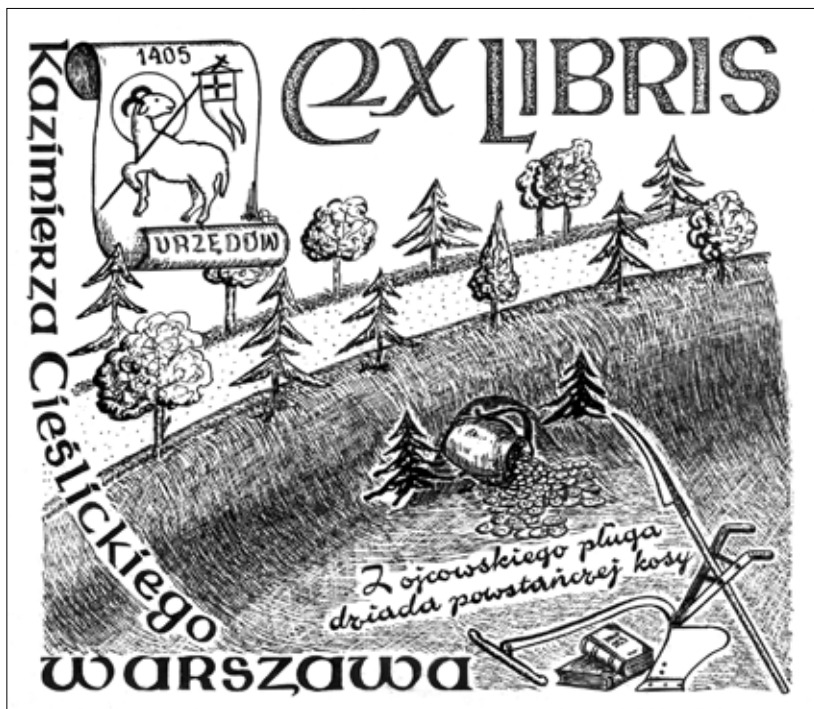
Przeważały gruntowe, nie utwardzone, tzw. polskie. Jedynie do Kraśnika prowadziła szosa zbudowana z okrągłych kamieni („kocich łbów”). W Urzędowie, oprócz obrzeży rynku, części przedm. Mikuszewskiego i Zakościelnego, grobli i połowy ul. Wodnej istniały tylko drogi gruntowe.

Światło elektryczne

Wprowadzone zostało w Urzędowie w 1937 r. Gdy w naszym mieszkaniu pierwszy raz zabłysło to światło moja mama powiedziała: „Gdyby moi rodzice wstali z grobu to by powiedzieli, że majątek stracę na oświetlenie mieszkania”.

Obyczaje i zwyczaje

Przedstawiam je na podstawie mojej najbliższej rodziny, jako w jakiejś mierze reprezentatywnej dla tego okresu. Panowały tu zwyczaje i nawyki jeszcze z XIX wieku. Ojciec, urodzony w 1867 r., większą część życia spędził pod zaborem rosyjskim. Do śmierci zachował duży kult dla cara i jego rządów i wielce szanował wiarę prawosławną. W potocznej mowie często wtrącał rosyjskie słowa.



Pamiętam, we wczesnym dzieciństwie jedliśmy całą rodziną z jednej miski z blachy emaliowanej. Spotkałem jednak nawet dużo później rodziny, które jadły posiłki wspólnie z misek glinianych. Z popularnych wówczas potraw wymienię „lemieszkę”, inaczej „prażuchę”. Był to rodzaj rzadkiego ciasta z gryczanej mąki okraszonej słoniną, którą jadło się na obiad, oraz „dziady” – placki pieczone z mąki z dodatkiem buraków cukrowych lub marchwi. Dodam, że chleb wypiekało się tylko w domu i był to przeważnie chleb razowy.

Ojciec był półanalfabeta. Do szkoły chodził dwie zimy. Umiał czytać tylko z książeczki do nabożeństwa. Oboje [rodzice] byli niepiśmienni. Brat Jan był również analfabeta, nie chodził do szkoły wcale („wszystko będę robił, żebym tylko do szkoły nie chodził” – mówił). Dopiero będąc starszym nauczył się czytać z gazet.

Mama – córka powstańca z 1863 r. wiedziała bardzo niewiele o udziale swojego ojca a mojego dziadka w powstaniu. Wspominała tylko tyle, że świeżo ożeniony dziadek został nocą zabrany do „partii” (oddziału powstańczego) i że do tego oddziału jego żona woziła mu czystą bieliznę i żywność. Ale gdzie walczył i pod czyim dowództwem – nie wiedzieli nic. Powstańców nazywali z rosyjska „miatażniki” (buntownicy). Rodzice byli ludźmi stojącymi na niskim poziomie intelektualnym i te sprawy ich nie obchodziły. Zainteresowania ich ograniczały się do pracy na roli i przestrzegania nakazów wiary. A tym-

czasem, choćby ze spisu powstańców, dokonanego przez Aleksandra Golińskiego wiemy, że urzędownicy walczyli pod Chruśliną, Fajslawicami (krasnostawskie), Żyrzynem k. Puław i w innych miejscowościach. Będąc ostatni raz w Urzędowie, jeszcze jako człowiek względnie zdrowy, zostałem zagadnięty przez Eugeniusza Kuśmiderskiego, znajomego murarza, syna Mariana: „Kazik! Wiem od swojego ojca dużo na temat udziału w powstaniu twojego dziadka. Opowiadał dużo mojemu ojcu (mieszkali blisko siebie) a ojciec mnie”. Spieszyłem się wtedy na autobus do Warszawy i odpowiedziałem: „Porozmawiamy na ten temat innym razem”. Potem zachorowałem ciężko, ledwo udało się utrzymać mnie przy życiu. Do Urzędowa już pojechać nie mogłem. Wprawdzie żyje w Urzędowie mój rodzony brat Jan, ale jego te sprawy nie interesują. A ja, wnuk powstańca, poszedłem w jego ślady i chciałbym znać dzieje walk, w których dziadek brał udział. Dziadek zmarł w 1918 r. tuż przed odzyskaniem niepodległości. Wolnej Polski nie doczekał.

Wracam do zwyczajów i obyczajów. W Urzędowie w owym czasie siało się sporo lnu i konopi. Jesienią, po całej okolicy rozlegał się stukot miedlic, prymitywnego przyrządu do oddzielania włókna od paździerzki. Snuły się dymy ognisk, przy których przed miedleniem podsuszano len i konopie. Mama moja całą zimę przędła nici, które oddawała do tkania do zawodowych tkaczek. Z tkanin wybielonych na słońcu i rosie mama szyła koszule dla siebie i ojca (z lnu), kalesony i worki (z konopi). Rodzice bardzo cenili lnianą odzież jako

najzdrowszą.

Ojciec całe życie chodził w butach z cholewami, do których wpuszczał spodnie. Zamiast skarpet czy onuc używał „wiechci” – garść prostej słomy wkładanej w buty pod stopy. Latem chodził boso. Latem i zimą nosił zamiast marynarki „spencer” – rodzaj kaftana z rękawami zapinanego pod szyją, z ciemnej białej.

Święta religijne

W okresie Bożego Narodzenia obowiązkowo musiały być „Herody”. Zespół młodzieży odgrywał historię narodzenia Chrystusa. Występował król Herod i jego żołnierze, śmierć, Żyd, diabeł, anieli i inni. „Herody” chodziły od domu do domu, pobierając za przedstawienia datki w naturze lub parę groszy. Punktem honoru było podwędzić gospodyni pęto kielbasy, kawał pieroga, placka lub parę jajek.

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych młodzież męska chodziła ze śmigusem. Ten obyczaj istnieje i dzisiaj, lecz w złagodzonej formie; za moich młodych lat oblewano dziewczyny wiadrami wody. Tego samego dnia i w Zielone Świątki urzędowanie szli tłumnie do kapliczki św. Otylii, by przemyć oczy wodą ze źródła spod kapliczki. Woda ta była i jest uważana za uzdrawiającą. Zanoszono ją do domu, gdzie nie traciła swojej świeżości nawet po wielomiesięcznym przechowywaniu.

W noc świętojańską obchodzono „Sobótki”. Przy ognisku młodzież śpiewała i chłopcy popisywali się skokami przez ogień.

Święta państwowe

Głośno i radośnie obchodzono rocznicę 3 maja i 11 listopada. Po uroczystym nabożeństwie odbywała się akademie z przemówieniami czołowych osobistości Urzędowa i deklamacjami wierszy przez uczniów, a ponieważ ja cieszyłem się dobrą pamięcią i dykcją, przez cały okres uczęszczania do szkoły recytowałem przy tych okazjach stosowne wiersze. Po akademii była defilada z udziałem orkiestry strażackiej pod batutą zasłużonego dyrygenta Jana Łukantego. Maszerowali „Peowiaczy” – członkowie POW z I wojny światowej, „Strzelcy”, „Krakusi”, młodzież szkolna, okoliczni mieszkańcy, wśród których wyróżniali się chłopcy z Wilkołaza w strojach ludowych i strażacy w paradnych mundurach.

Wspominałem tu o „Strzelcach” i „Krakusach”. „Strzelcy” – to odpowiednik piechoty, „Krakusi” – jazdy. Do tych paramilitarnych organizacji należeli chłopcy w wieku poborowym. Zbierali się raz w tygodniu w świetlicy, która mieściła się u Stanisława Wojtuszkiewicza przy ul. 3 Maja, gdzie uczyli się musztry, regulaminów wojskowych, śpiewali piosenki, urządzali zabawy. Ubrani byli w mundury wojskowe, zaś „Krakusi” posiadali dodatkowo siodła, szable i lance jako dar 24. Pułku Ułanów z Kraśnika, który w 1937 r. przezbrajał się a zbędne uzbrojenie przekazał okolicznej młodzieży.

Mój brat Jan również należał do „Krakusów”. W niedzielne letnie poranki, na odgłos trąbki, chłopcy przywdziewali mundury, brali szable i lance i konno cwałowali na błonia, by ćwiczyć pod rozkazami emerytowanego kapitana Bortkiewicza. Gdy tak wystrojony chłopak jechał na koniu dziewczyny aż piszczały z uciechy. Podczas świąt państwowych urządzano na błoniach pokazy walki piechoty z jazdą, „Strzelców” z „Krakusami” pod komendą kpt. Bortkiewicza.

Jako kolekcjoner dawnej broni, posiadam szablę po „Krakusach” oraz jedną lancę z proporczykiem.

Latem 1938 lub 1939, w okresie nastrojów wojennych, odbyła się piękna, wysoce patriotyczna uroczystość. Urzędowianie ofiarowali jednostce wojskowej z Lublina ckm, zaś dzieci szkolne ufundowały z groszowych składek maskę przeciwgazową. Była defilada wojskowa i przemówienia. Maskę w imieniu całej szkoły wręczałem ja, mówiąc mniej więcej tak: „Panie Pułkowniku! Całe nasze społeczeństwo kocha armię i jej dzielnego wodza. My, najmłodsze pokolenie, chcemy też iść drogami naszych ojców i kochamy wojsko. Dziś chcieliśmy upamiętnić ten dzień, więc ze złożonych datków zakupiliśmy maskę, którą przyjmij Panie Pułkowniku i wiedz, że gdy podrośniemy Ojczyzna nasza będzie mogła zażądać od nas największej ofiary – naszego życia i krwi”.

Również szkoły z okolicznych wiosek przekazywały ufundowane maski. Latem 1937 r. miały miejsce w Urzędowie manewry pułku z Puław. Wojsko kwaterowało wraz z końmi w stodołach. Ja, 12-letni brzdąc, całe dnie i noce spędzałem z żołnierzami. Widziałem ich pozowane

walki i akcje „bojowe”. Najbardziej mi się podobało, gdy u schyłku dnia żołnierze po kolacji ustawieni w dwusereg śpiewali: „Wszystkie nasze dzienne sprawy”. Wokoło robił się mrok, rolnicy kończyli pracę w obejściach a echo roznosiło po Urzędowie tę piękną pieśń.

Z uwielbieniem patrzyłem, gdy na zakończenie manewrów odbyła się defilada wojskowa. Za orkiestrą mały konik ciągnął bęben, w który walił pałkami mały chłopak niewiele starszy ode mnie. Jakże mu tego zazdrościłem.

Gwara

W Urzędowie w owym czasie ludność rolnicza używała na ogół gwary zaliczanej do małopolskich, ale bez mazurzenia, z naleciałościami gwarowymi niespotykanymi gdzie indziej, np. „mośli” – szybciej, „w tak roku” – w ubiegłym roku. Wyrazów takich jest więcej. Spis wielu wyrazów gwarowych z Urzędowa posłałem do Muzeum Regionalnego w Kraśniku. Dziś gwara wymiera, czemu przyczynia się rozpowszechnienie radia, telewizji, bliskość dużej fabryki w Kraśniku, kontakt ludności z mieszkańcami całej Polski, a przede wszystkim szkolnictwo.

Rolnictwo

W porównaniu ze stanem dzisiejszym rolnictwo było zacofane. Do uprawy roli służyły: żelazny pług i sprzężówka oraz drewniane brony i drewniane radło. Mało używano nawozów sztucznych, zarówno z powodu wysokich cen, jak i niskiej świadomości rolników. Urodzaje zbóż były niskie. Dopiero gdy w mojej rodzinie brat Jan zaczął gospodarować i nowocześniejszej od ojca uprawiać ziemię zbiory były większe. Jak mówiła mi mama (ur. w 1883 r.) to za czasów jej młodości kilku żniwiarzy w ciągu całego dnia mogło zżąć sierpami żyto z 1 morgi, cały zbiór powiązać w snopy i jednym wozem drabiniastym wrócić nim do domu. Można sobie wyobrazić, jakie były wtedy urodzaje. Żniwa rozpoczynało się w sobotę. Moi rodzice żęli wyłącznie sierpami, uważając, że koszenie zboża niszczy je. Dopiero brat Jan zapoczątkował używanie do żniw kosa.

Na zakończenie przytoczę jako ciekawostkę wydarzenie z lata 1938 r. Na polach ok. pół kilometra od osady osiadł szybowiec. Było to przed południem. Połowa mieszkańców miasteczka, dorośli i dzieci pobiegli do samolotu. Szkoła przerwała naukę. Dorośli wzięli szybowiec na ramiona i zanieśli go na noc do remizy strażackiej, by rano ponownie wynieść go na pole, gdzie przyleciał po niego prawdziwy samolot z motorem. W Urzędowie ludzie długo o tym opowiadali.

Uważny czytelnik po przeczytaniu tych moich wspomnień niech nie myśli, że Urzędów stanowił wyjątek. Podobnie działo się i w innych okolicznych osadach i miasteczkach. Dziś niektóre z tych zwyczajów i nawyków zaginęły bezpowrotnie, niektóre w stanie szczątkowym jeszcze istnieją.

Myślę, że dla młodych będzie tu sporo faktów zupełnie nieznanych albo o których niewiele od starszych słyszeli.

Warszawa, 10.VII.1986 r.

Jan Lucjan Kochanowski

Żydowscy arendarze, faktorzy i pachciarze łopiennickiego dworu

W roku 2012 minęła 70. rocznica powstania w warszawskim getcie i ostatecznej zagłady Żydów na terenach okupowanej przez hitlerowców Europy. Z roku na rok ubywa nas z tego pokolenia Polaków, którzy Żydów jeszcze pamiętają i byli pośrednimi lub bezpośrednimi świadkami holocaustu. Dlatego będąc w tamtych czasach mieszkańcem łopiennickiego dworu postanowiłem opisać, co ze swoich młodzińskich wówczas lat zapamiętałem o Żydach.

Spośród znanych mi ziemiańskich dworów położonych na wschód od Wisły, każdy z nich odwiedzany był przez kilku żydowskich faktorów, arendarzy i pachciarzy, na zasadzie wyłączności. To znaczy, że pokazywali się ci sami, a innych w bezpośrednim otoczeniu dworu nie widywało się. Działo chyba jakieś niepisane prawo, skrętnie przestrzegane przez potencjalną konkurencję.

„Naszych” Żydów było zaledwie kilku, ale reprezentowali barwną galerię typów, którą w miarę pamięci postaram się opisać.

Jako pierwszego wymienię handlarza koni Kona z Urzędowa o imieniu bodajże Abram, o którym ojciec mawiał, że jest najuczciwszym ze wszystkich znanych mu Żydów. Muszę przyznać, że byłem z nim wręcz zaprzyjaźniony. Był to smukły, wysoki i wyjątkowo schludny mężczyzna w wieku około 50 lat. Z charakterystycznego żydowskiego stroju nosił jedynie czarną jarmułkę z małym daszkiem (w kształcie kepi). Nie nosił jednorzędowego czarnego chałatu z cienkiej tkaniny jak większość Żydów, nie miał ani pejsów, ani brody charakterystycznych dla starszego żydowskiego pokolenia. Przyjeżdżał do Łopiennika co jakiś czas jednokonną furką, bo „końskich” interesów nie było u nas znowu tak wiele. Dobierał nam pary do koni fornalskich, kupował żrebaki po naszym wspaniałym ogierze, angloarabie „Oseledcu”, którego złamana za młodu noga wyeliminowała z torów wyścigowych. Namówił też ojca na kupno młodej półkrwi wierzchówki, która według Kona miała chodzić jak szwajcarski zegarek. I istotnie chodziła tak, ku zadowoleniu ojca, do 1943 roku, póki nie zrabowali jej bandyci.

Gdy Abram oczekiwał na przyjęcie przez ojca, wiedliśmy długie rozmowy na końskie tematy. Nauczył mnie rozpoznawać po zębach wiek konia, uczył mnie też strzelać ze swojego bata. A nie był to byle jaki bat, ale piękne trzciniowe biczysko z solidnym rzemiennym sznurem z węzłami, a w najbliższym biczysku tkwił piękny czerwony chwost. Z batem, którego bardzo mu zazdrościłem, Kon nigdy się nie rozstawał. Nawet gdy w dworskiej kuchni poczęstowano go talerzem zupy, to jadł trzymając bat między nogami. Bardzo mnie to dziwiło i dopiero ojciec wyjaśnił, że jakieś żuliki ukradły pozostawiony na furce bat, a nowy kosztował sporo złotych.

W roku 1939 po zakończeniu działań wojennych, nie tylko Kon ale i inni Żydzi przestali się u nas pokazywać. Niemcy wydali bowiem Żydom zakaz opuszczania miejsc zamieszkania i obowiązek noszenia żółtych gwiazd Dawida. Ze znanych mi łopiennickich Żydów spotkałem się wtedy jedynie raz z Konem. Pojechałem z naszym ogrodnikiem do Urzędowa na targ z wasągami pełnym naszej wspaniałej kapusty. Żydzi napiętnowani gwiazdami Dawida chyłkiem przemykali się ulicami osady. W pewnym momencie podszedł do nas Kon. Ledwo go poznałem, był skrajnie wymizerowany, z zapadłymi policzkami i wielkimi smutnymi oczami. Powiedział tylko: „Panicz Kochanowski to wojnę przeżyje, ale stary Kon to już na pewno nie”. Daliśmy mu kilka główek kapusty i już go nie było. Bardzo mi było Kona żal.

Natomiast z pewną nawet odrazą zapamiętałem niewiedzącego Łopiennik Icka z Bełzyc, nie dlatego, że był rakarzem, ale że był wyjątkowo nachalny i miał chytne, rozlane oczy. Wyciągniętym z kieszeni brudnego chałatu najtańszym cukierkiem starał się mnie przekupić, żebym powiedział ojcu, że on (tzn. Icek) już przyjechał. A swoją drogą musiał mieć jakąś wrodzoną intuicję, bo ilekroć zdechł u nas koń lub na pastwisku rozpeczyło krowę, to niezawodnie tego samego dnia pokazywał się u nas Icek. A trzeba dodać, że z Bełzyc do nas było 10 km i nie było żadnej komunikacji.

Kolejnym, tym razem typowym, pachciarzem był stary, wynędzniały Żyd z odległego o 7 km Chodla. Chodził o kiju i zawsze miał ze sobą worek. Nie znaliśmy ani jego imienia, ani nazwiska. Dla nas był to po prostu „Stary Żyd”. Przychodził zawsze w piątki i nieśmiało pytał czy nie ma jakichś niepotrzebnych „szmatów”, a ponieważ rzadko bywały, grzebał patykiem w mieszczącym się w pobliżu kuchni dworskim śmietniku. Interesowały go puste butelki i puszki. Dostawał zawsze miskę zupy i obowiązkowo w jarmułce na głowie zjadał ją z apetytem. Wypytywany przez służbę dlaczego przychodzi tylko w piątki wyjaśniał „co on dobrze wie, że w piątki dziedzice jadają koszernie”. Istotnie nasze piątkowe menu, łącznie z zupami, było obowiązkowo postne.

Zupełnie innego „formatu” był Morel z Bełzyc, bodajże o imieniu Emil. Nazywaliśmy go „Złotym Ząbkem” z uwagi na widoczne z dala złote koronki w uzębieniu. Przyjeżdżał zawsze na przednówku elegancką bryczką zaprzęzoną w wypaszonego konia. Ubrany był po europejsku a u kamizelki wisiała mu masywna złota dewizka do zegarka. Mogę się tylko domyślać czym handlował, bowiem w kierunku Bełzyc jechały później wozy pełne naszego zboża z pierwszych omlotów. Morel był przyjmowany w kancelarii, usadzany w fotelu w pobliżu biurka ojca i częstowany szklanką herbaty. Okazało się później, że

nasz kamerdyner Stanisław bardzo nie lubił obsługiwać Żyda i zawsze tak stawiał Morelowi szklanke, że część herbaty znajdowała się na spodku.

Kolejnym przedstawicielem żydowskiej galerii był Bencjan Ajchental z Chodla – siedziby naszej gminy, posterunku policji i apteki. Stąd też nasi domownicy często tam zajeżdżali. Bencjanowie mieszkali w rynku obok poczty, więc jeśli trzeba było coś załatwić, panią z poczty po prostu przez okno wzywała Bencjana albo tylko mówiła, co ma załatwić. U Bencjanów zatrzymywał się zwykle stryj, który w Chodlu załatwiał swoje sprawy. Bencjanowa zawsze częstowała go herbatą z sokiem malinowym, którą stryj uwielbiał ku zgorszeniu mojej mamy, bowiem w łopiennickiej spiżarni nie brakowało różnych soków jej wyrobu, w tym i malinowego. U wyjątkowo gościnnych Bencjanów byłem raz czy dwa. W ich skromnym i schludnie utrzymanym mieszkaniu pachniało czosnkiem i czymś jeszcze. Zapytałem, gdzie są ich dzieci, których, wiedziałem, że mieli bodaj pięcioro. Okazuje się, że wszystkie chodziły przed południem do szkoły powszechnej a po południu do chederu i dlatego ciągle nie było ich w mieszkaniu.

W arendzie u Żydów był nasz blisko 10-hektarowy sad. Najmował go obdarzony wyjątkowo liczną rodziną Josek. Liczna rodzina była potrzebna do pilnowania ciągnącego się wzdłuż wsi sadu, oddzielonego od niej przeważnie dziurawym płotem. Często więc było słycać krzyki, pościgi i skandowane przez wiejskich wyrostków: „Josek, wsadź sobie w piosek”. W miarę dojrzewania trafiał do dworu codziennie kosz doborowych jabłek i gruszek, a po zbiorach tyle owoców ile mieściło się na dworskich strychach, które po przykryciu słomą starczały nam prawie do lata.

Gdzieś jesienią rodzina Joska obchodziła Święto Kuczek. Wówczas Josek budował ze skrzynek na jabłka sporą budowlę, w której cała rodzina przebywa od świtu do zmroku i nikt się nie pokazywał. Słycać było tylko jakieś śpiewy i modły.

W listopadzie również Żydzi z Chodla odbierali cały odłów karpia z naszego przydworskiego stawu. Ci sami Żydzi przywozili przed wigilią w beczce kilkanaście dorodnych karpia, które po dłuższym pobycie w ustawionych w nurcie czystej Chodelki sadykach traciły zupełnie smak naszego bagiennego stawu. Przygotowane na smażone, z wody i w galarecie trafiały na nasz wigilijny stół.

Poza wymienionymi, nie przypominam sobie, aby nasz dwór miał jeszcze jakieś inne interesy lub kontakty z Żydami. Zakupy bieżące na potrzeby dworu dokonywane były w doskonale zaopatrzonej i wyjątkowo solidnym urzędowskim „Społem”, a polskich szewców i krawców mieliśmy pod ręką na wsi. Natomiast sprawy finansowe ojciec załatwiał w PKO lub w Kasie Stefczyka.

Wprawdzie jeszcze przed wojną zaborcy, wprowadzając akcyzę i koncesjonowanie wyszynku, wyeliminowali z polskiej wsi totumfackich żydowskich karczmarzy, to w naszych stronach na wsi mieszkali ich niewielu. Nie przeszkadzało to jednak przedstawicielom tej przedsiębiorczej rasy z miast i miasteczek w skutecznym penetrowaniu obszarów wiejskich. Chodel, Bełżyce, Kraśnik i Opole Lubelskie – okoliczne miasteczka z moich ro-

dzinnych stron ze słabo rozwiniętym przemysłem, były chyba co najmniej w 30% zamieszkałe przez trudniącą się drobnym handlem i rzemiosłem ludność żydowską. Wyjątek stanowił Urzędów, w którym póki był królewskim miastem obowiązywał zakaz osiedlania się Żydów. W rezultacie w 1939 r. było ich tam poniżej 10%. Nie wiem czy Zakościelne było wówczas wyodrębnioną wsią, ale ojciec jadąc ze mną do Urzędowa pokazywał mi tam jako kuriozum kilka nędznych chat żydowskich rolników, wokół których pasły się kozy.

Jak sięgam pamięcią, z wyjątkiem sobót i niedziel Żydzi byli na wsi widoczni na co dzień. Wyjaśniam, że w soboty był żydowski szabas i obowiązywał zakaz wszelkich wysiłków utożsamianych z pracą, a że nawet wyjście z domu wiązało się z wysiłkiem, więc siedzieli w domach i nie było ich widać. Natomiast nasza niedziela była ich dniem pracy i wszystko co żydowskie było otwarte, jednak nie narzucali się wiedząc, że jedyną tolerowaną w niedzielę formą handlu wiejskiego były przykościelne odpustowe jarmarki. W dni powszednie Żydzi przyjeżdżali do nas na wieś małą furką lub wózkiem zaprzężonym w niewielkiego, zwykle wymizerowanego, konika. Część z nich wysiadała i gdzieś się rozchodziła, reszta jechała dalej. Wracali pod wieczór. Zdarzało się, że za furką szedł opornie przywiązany sznurkiem za głowę cielak, a za cielakiem Żyd poganiający go kijem. Innym razem na furce pełno było worków z ziemniakami lub zbożem. Wówczas pasażerowie, włącznie z furmanem z nierozłącznym batem, szli za furką, co kojarzyło mi się z konduktem pogrzebowym. Przed wzgórkami konik ustawał, wtedy wszyscy solidarnie pchali furkę, wydając jakieś niezrozumiałe okrzyki. Zimą środkiem transportu były niewielkie sanki ciągnięte przez jeszcze bardziej wymizerowaną „chabetę” (wywodzące się chyba z jidysz określenie wychudzonego, zajeżdżonego konika).

Na odnotowanie zasługuje brak objawów antysemityzmu na wsiach. Można chyba nawet mówić o swoistej symbiozie żydowskich kupców i rzemieślników z ludnością wiejską. Nieco inaczej działo się w osadach i miasteczkach. Czym bliżej wojny, tym symptomy antysemityzmu powoli narastały. Było to nawoływanie do bojkotu żydowskiego handlu i napisy „Nie kupuj u Żyda”. Były to antysemickie ulotki rozdawane w dni targowe. Zapamiętałem, jak trafił raz pocztą do dworu pakiet zawierający antysemickie broszury i rysunki o brukowej treści. Nadawca był anonimowy. Zapewne z tych samych źródeł wywodziło się straszenie małych dzieci, aby nie oddalały się zbyt od swoich domów, bo Żydzi porywają je na mace (jakoby dodawali do nich dziecięcą krew). Mace dostarczał nam od czasu do czasu Bencjan. Stanowiły dietetyczne pieczywo dla „bolibrzuchów”. Uwielbiałem je, bo bardzo urozmaicały kleikową dietę.

Na przełomie lat 1940/1941 zaczęły powstawać getta, w których Niemcy grupowali Żydów z mniejszych miejscowości. W naszych stronach takie getta powstały w Bełżycach i Chodlu. Z dnia na dzień warunki bytowe stłoczonych tam Żydów pogarszały się, a głód, choroby i wycieńczenie ich dziesiątkowały. Tymczasem z terenów Generalnej Guberni i podbitych krajów europejskich (m.in. z Austrii i Holandii) nadchodziły ciągle nowe

transporty, pogarszając i tak tragiczną sytuację. Jeżdżąc do krewnych w Jeżowie przejeżdżaliśmy przez chodelskie getto, nawet niespecjalnie szczelnie wygrozdzone. Tylko przy wylotowych ulicach stali żydowscy policjanci w czapkach typu wojskowego z pomarańczowymi otokami i długimi pałkami. Jeden z nich konwojował nas podczas całego przejazdu. Tragiczny widok ledwo snujących się bez celu nędzarzy wpatrujących się w nas normalnych ludzi z jakąś nutką nadziei w oczach utkwiał mi na zawsze w pamięci.



Budynki gospodarcze dworu ziemiańskiego – lata międzywojenne XX w.

Okoliczni ziemianie z ojcem na czele podjęli akcję pomocy Żydom. Polegała ona na tym, że w porozumieniu z władzami niemieckimi i Judenratem udało się wydobyć z getta pewną liczbę rodzin żydowskich i umieścić je na terenie majątków. Pretekstem była pomoc Żydom w pracach polowych dla zapewnienia terminowych dostaw kontyngentów. Majątki ziemskie zatrudniające Żydom zapewniały zakwaterowanie i wyżywienie, natomiast należne wynagrodzenie inkasował Judenrat.

W Łopienniku grupa licząca 50–60 osób została zakwaterowana w nieczynnej o tej porze roku suszarni chmielu. Wcześniej było w niej zainstalowanych prowizorycznie przez pewien czas 25–30 Żydom, również pod pretekstem zapewnienia terminowych dostaw kontyngentów. Trzeba ich było codziennie rano przywozić do Łopiennika i odwozić przed zmrokiem do odległego o 7 km Chodla. Mieli to być wybrani, wyłącznie zdolni do pracy – przyjeżdżali często skrajnie wyczerpani, potrzebujący pomocy ludzi. Taką pomocą były przyznawane przez ojca, bez wiedzy władz, deputaty żywnościowe.

Przypominam sobie, jak pewnego dnia została przywieziona do pracy grupa Żydom austriackich. Było wśród nich dwóch profesorów uniwersyteckich z Wiednia: fizyk i prawnik. Pierwszy z nich, posługując się kieszonkowym słownikiem, starał się dowiedzieć, co się dzieje na frontach i był bardzo wdzięczny, gdy mu przyniosłem niemiecką gazetę. Drugi znał nawet język francuski, ale nie

chciał ani ze mną, ani z nikim rozmawiać. Był widocznie zupełnie załamany psychicznie. W tej grupie było również kilka studentek z jakiegoś konserwatorium; były bardzo delikatne i z pracą fizyczną nie miały dotychczas nigdy do czynienia. Wśród nich była jedna piękność, na którą wszyscy zwrócili uwagę.

Przejeżdżając przez wioski w drodze do pracy i z pracy Żydom mieli obowiązek śpiewania określonych piosenek. Słyszałem ten tragikomiczny śpiew kilka razy, utkwiała mi nawet w pamięci następująca zwrotka jednej z nich:

„Marszałek Śmigły Rydz
Nie nauczył nas roboty nic,
A Hitler kochany złoty
Nauczył nas roboty”.

Ale słyszałem również, gdy wóz z Żydomi oddalił się już znacznie od Łopiennika, fragment i takiej piosenki:

„Marsz, marsz na Hitlera,
Niech go weźmie cholera,
Niech go trzaśnie w łeb
I zabije go na śmierć”.

W naszych stronach getta zostały zlikwidowane w 1942 roku.

Znając z czasów Księstwa Warszawskiego historię bohatera Berka Joselewicza, obserwowałem Żydom, którzy u nas pracowali. Z niektórymi rozmawiałem i często widziałem w ich oczach zupełną rezygnację. Zastanawiałem się wówczas, zresztą nie tylko ja, dlaczego nie próbują nic robić, uciekać, kryć się, walczyć. Przecież u nas nikt ich nie pilnował, a wśród tych,

których dowożono do pracy krótko przed likwidacją getta, czyli przed oczywistą już zagładą, trafiali się jeszcze młodzi i silni ludzie. Już po wojnie dowiedziałem się od ojca, że zatrudniając Żydom podpisywał Niemcom zobowiązanie, że za nich odpowiada i nie dopuści do ucieczki i sądzę, że oni o tym nie wiedzieli. Dobrze więc, że nic złego się nie stało. Możliwości ratowania Żydom życia nie było. Można było jedynie nieco ulżyć im w cierpieniach, a praca w majątku taką ulgę niosła.

Moje refleksje były może zbyt subiektywne, o czym miałem możliwość niebawem się przekonać. Najpierw doszły do nas wieści o powstaniu w warszawskim getcie, później spotykałem kilkakrotnie uciekinierów z holocaustu. Miało to miejsce w trakcie napadów band rabunkowych na nasz dwór na przełomie 1942/1943 roku. Kilku Żydom, członków tych band, wyróżniało się wówczas wybitnie w sensie negatywnym, podejmując bardzo desperacki krok ratowania się, a okoliczności sprawiły, że stali się takimi, jakich miałem pecha spotkać.

Eliza Lamer-Zarawska

Wspomnienia Elizki

Jestem bardzo wzruszona faktem zainteresowania się losami dziecka, a byłam nim ja – Elizka – dziecka nie pochodzącego z Urzędowa, które tylko z mamą Bronisławą (bowiem tato w tym czasie zasiliał szeregi leśnych partyzantów AK), przebywało przez cały okres II wojny światowej (w latach 1938–1945) na terenie parafii urzędowskiej, pozostając pod opieką proboszcza – księdza Jana Łazickiego.

Dziękując bardzo Państwu – współredagującym bardzo dobre pod względem merytorycznym i interesujące dla czytelników czasopismo „Głos Ziemi Urzędowskiej” – za to zainteresowanie, przesyłam moje osobiste pamiątki (fotografie z okresu mojego pobytu w Urzędowie) oraz niektóre wspomnienia z czasów dzieciństwa – strasznych czasów wojny, a także krótką historię losów mojego taty, którego działalność partyzancka jak i powojenne losy „żołnierza wyklętego” skazanego na niepamięć i którego życie, zakończone śmiercią po pobiciu w więzieniu ubeckim we Wrocławiu w 1955 r., były tak ściśle związane z ziemią urzędowską – tą częścią Polski, którą bardzo ukochał i nigdy nie zdradził.

Historia mojej rodziny w latach 1938–1955 była następująca: Urodziłam się w 1935 r. w Skarżysku-Kamiennej, z ojca Józefa Lamera (urodzonego w 1906 r. i zamieszkałego w Skarżysku) oraz matki – Bronisławy Lamer z domu Świstakowskiej, pochodzącej z Częstochowy i w okresie przedwojennym zamieszkałej również w Skarżysku (rodzice wzięli ślub rzym.-kat. w 1932 r. w Skarżysku-Kamiennej). Mama moja, od dzieciństwa poważnie chora na serce, po urodzeniu mnie już do pracy zawodowej nie powróciła i pozostawała na utrzymaniu męża (wcześniej, po ukończeniu szkoły średniej, tzw. handlowki, pracowała w sklepie w Skarżysku jako kasjerka).

Mój tato pochodził z bardzo zacnej, choć niezbyt bogatej, rodziny kolejarskiej, wielodzietnej (miał 3 braci i 3 siostry) i jako jedyny z rodzeństwa od czasów szkolnych wykazywał duże uzdolnienia matematyczne (na które zwrócili uwagę jego nauczyciele). Toteż po zdaniu matury (w Skarżysku-Kamiennej) przystąpił do otwartego ogólnopolskiego konkursu na przyjęcie na studia matematyczne – na Wydziale Matematycznym Politechniki Lwowskiej. W wyniku konkursu (zajął w nim II miejsce) został przyjęty na tę prestiżową uczelnię (Uniwersytet i Politechnikę Lwowską nazywano przed wojną „polskim Oxfordem”) i znalazł się w grupie studentów pod opieką pedagogiczną wybitnego polskiego matematyka – profesora Stefana Banacha. Jednak ze względu na fakt, iż rodzina taty była uboga i nie stać ich było na utrzymanie syna we Lwowie, na wniosek profesora Stefana Banacha, tato, po zaliczeniu I semestru studiów we Lwowie, został formalnie przeniesiony

na Wydział Filozoficzno-Matematyczny Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie został przyjęty w 1925 r. (za rektorowania dra Stefana Pieńkowskiego), otrzymał specjalne stypendium oraz został powierzony pod naukową kuratelę innemu wybitnemu polskiemu matematykowi czasów przedwojennych – profesorowi Waławowi Sierpińskiemu, pracującemu nad „teorią liczb i matematycznych ciągów liczbowych” (które to prace umożliwiły później m.in. złamanie szyfru „Enigma”). Mój tato napisał swoją pracę magisterską pod kierunkiem tego wybitnego matematyka i po zdaniu odpowiednich egzaminów uzyskał stopień magistra w 1938 r. Absolutorium studiów (ukończenie studiów) tato uzyskał już w 1930 r. i w następnych latach podjął pracę zarobkową jako matematyk-konstruktor broni w Radomskiej Fabryce Broni Oddział w Suchedniowie, jednocześnie cały czas współpracując z profesorem Sierpińskim aż do 1938 r.



Fotografia taty ze mną – trzylatką (1938 r.)



Ja z mamą w pierwszym roku pobytu w Urzędowie (1938 r.)

Już pod koniec studiów warszawskich tato otrzymał angaż pracy w nowo budujących się Zakładach Zbrojeniowych w Dąbrowie-Bór pod Kraśnikiem, jako kierownik jednego z Wydziałów Zbrojeniowych tego powstającego polskiego kombinatu przemysłu zbrojeniowego, budowanego w ramach COP (Centralnego Okręgu Przemysłowego).

W tymże roku (1938) tato wraz z mamą i ze mną związali swoje losy z Urzędowem i Kraśnikiem, zamieszkując tymczasowo na terenie probostwa w Urzędowie, gdzie proboszczem był w tym czasie ksiądz Jan Łazicki (oddany przyjaciel naszej rodziny).

Zamieszkaliśmy więc wtedy na plebanii w Urzędowie i do tego roku sięga moja pamięć dotycząca wczesnych lat dzieciństwa.



Ja przy krzaku róży, lato 1939 r, taty już nie ma w Urzędowie, gdyż wyjechał do Rumunii, a mną zajmują się młodzi przyjaciele mojego taty i mamy – Bogdan Kleniewski z siostrą Grażynką (Bogdan w środku – w czapce z orzełkiem) oraz ich przyjaciele związani z apteką pana Sawy w Urzędowie

Pobyt na plebanii w Urzędowie od początku bardzo mi się spodobał, gdyż jako jedyne dziecko swoich rodziców nie czułam się już samotna, bowiem nagle zostałam otoczona gronem młodych chłopców z Urzędowa pracujących w Zakładach Zbrojeniowych, towarzyszących mojemu tacie i gromadzących się w tym niespokojnym okresie 1938/1939 na plebanii u proboszcza Łazickiego, aby słuchać wiadomości z radia (marki „Telefunken” – jak zapamiętałam). Wśród tych młodych ludzi z Urzędowa szczególnie bliscy byli dla mnie i dla moich rodziców – rodzeństwo Bogdan i Grażyna (nie jestem pewna jej imienia) Kleniewscy – dorosłe dzieci doktora Kleniewskiego. Doktor Kleniewski – ten wspaniały nieoceniony lekarz



Moje zdjęcie z tatą przy naszym samochodzie, tuż przed jego wyjazdem do Rumunii

czasów wojny nie był nawet „ukończonym” medykiem tylko felczerem, ale leczył z powodzeniem mieszkańców Urzędowa, a w czasie wojny także (podejrzewam że głównie) „leśnych” partyzantów. Rodzeństwo Kleniewskich było związane również z apteką pana Sawy w Urzędowie, w której to aptecę Grażynka Kleniewska pracowała (?).

Na początku roku 1939 (późną wiosną) mój tato otrzymał rozkaz od Dyrekcji Zakładów Zbrojeniowych w Dąbrowie-Bór na wywiezienie do Rumunii planów rozbudowy tych zakładów oraz prototypów broni i amunicji.



Młodzi mężczyźni z Urzędowa (ze mną na rowerze), lato 1939 r. Chłopcy z Urzędowa są prawdopodobnie związani z Zakładami Zbrojeniowymi pod Kraśnikami – stanowić będą trzon późniejszych oddziałów partyzantów leśnych podczas wojny

Powrót taty z Rumunii do Polski był planowany pod koniec 1939 r., co uniemożliwiło wkroczenie wojsk Hitlera na teren Polski i wypowiedzenie wojny. Fatalny 1 września 1939 r.! Ten dzień zapamiętałam już na zawsze, tak jak go przeżyłam „po dziecinnemu” na plebanii u księdza Łazickiego. 1 września był dla mnie przede wszystkim dniem imienin mojej mamy Bronisławy. Mama już od rana piekła wspaniały tort „z różowym lukrem”, którym chciała wieczorem poczęstować grono młodych mężczyzn z Urzędowa gromadzących się na plebanii przed radiem nadającym najnowsze wiadomości. W pamięci, jak na obrazku, widzę moment wejścia mamy (z tortem i ze mną) do pokoju, gdzie zgromadzeni słuchają słów z radia: „Hitler wchodzi do Polski, wojna”. W pokoju wszyscy zrywają się na nogi, krzyczą coś niezrozumiale, siostra księdza Łazickiego (surowa „księdzowa” prowadząca gospodarstwo księżowskie) płacze, a mojej mamie na te słowa z radia tort wypada z rąk i rozbija się pod stołem, sama mama traci przytomność i pada na podłogę, a ja (wstyd napisać) wcale nie płaczę, tylko pracowicie zbie-

ram z podłogi resztki zniszczonego tortu, aby poprobować „różowego lukru” (w czym towarzyszy mi kot „księdzowej”). To był w rzeczywistości straszny dzień i później moje dzieciństwo nie było już na długo (teraz myślę że „na zawsze”) takie „różowo-tortowe”.

Przede wszystkim, musiałyśmy wraz z mamą opuścić w miarę bezpieczne mieszkanie na plebanii i przenieść się do małego, gospodarczego, drewnianego domku, znajdującego się na terenie probostwa. Pamiętam, że bardzo płakałam podczas tej przeprowadzki (mimo że i ksiądz Jan, i „księdzowa” przekonywali mnie, że to dla mojego i mamy dobra i większego bezpieczeństwa dopóki tato nie wróci), a ja płakałam i płakałam, gdyż bałam się, że tato nie znajdzie nas, gdy powróci z „jakiejś tam” Rumunii.

Późniejszy czas w Urzędowie był już dla wszystkich, starych i młodych, podszyty wielkim strachem. Dla dzieci szczególnie. Pamiętam strzelaninę z samolotów niemieckich do poruszających się ludzi (moja mama uciekała wtedy ze mną do ogrodu, układała mnie na ziemię „w chaszczę” i osłaniała swoim ciałem). Tak robiły wtedy matki z Urzędowa i uciekające kobiety z miast, chroniące swoje najmłodsze dzieci. A dzieci, które nagle i brutalnie zaczęły spotykać się ze śmiercią, nauczyły się zachowań małych zwierzątek, kryjących się „do dziurki” przed każdym obcym mężczyzną, także samochodem czy samolotem, traktując wszystko jako śmiertelnego wroga.

W późniejszych latach okupacji, nam dzieciom i ich rodzinom w Urzędowie najwięcej krzywdy, oczywiście poza Niemcami, uczynili Ukraińcy z band UPA. Na hasło „UPA” wszystkie kobiety z małymi dziećmi uciekały



Moje zdjęcie z Grażynką Kleniewską (ja na sankach, w futerku z królika szynszyla) w pierwszą (albo drugą) okupacyjną zimę w Urzędowie

w panice, aby się ukryć, głównie w lesie, niezależnie od pory roku. Ileż ja nocy przeleżałam na ziemi w pięknych okolicznych lasach urzędowskich, przykryta tylko liśćmi, choć trzęsłam się z przerażenia, a często i z zimna, i z głodu. A mama, jak lisica, pilnowała mnie, krążąc w pobliżu. Została mi z tego okresu „pamiątka” zdrowotna na całe życie – nawracające zapalenia nerek, zapalenie stawów, choroba serca, nerwów. Nawet już po wojnie, gdy byłam młodą dziewczyną, wracały podczas snu koszmary wojny i bywało, że zrywałam się wtedy w panice z łóżka i starałam się uciec z domu, aby się gdzieś ukryć. (Ciekawość, z medycznego punktu widzenia, jest fakt, że to zachowanie lękowe przekazałam w genach mojej córce, która zachowała się podobnie, próbując uciec z domu podczas snu w noc po ogłoszeniu „stanu wojennego” w Polsce, mimo że ja rzadko z nią rozmawiałam o moich przeżyciach w czasie wojny, a nawet nie była ona tymi sprawami pozornie zainteresowana).

Domek gospodarczy, w którym mieszkaliśmy z mamą w czasie wojny, w Urzędowie na terenie parafii, był właściwie niewielką altaną umiejscowioną w bardzo zarośniętym sadzie przylegającym do lasu, i składał się z jednego większego pokoju, w którym był duży piec kaflowy, stojące obok niego łóżko, na którym spałyśmy razem z mamą (mówiło się, że śpimy „za piecem”), niewielki stół oraz mały stoliczek – ołtarzyk (z obrazkami Matki Boskiej i Anioła Stróża) urządzony przez mamę (przed którym to ołtarzykiem mama nauczyła mnie modlić się, zaczynając od śpiewu „Kto się w opiekę odda Panu swemu”). W pokoju tym był także ulubiony przeze mnie mebel przywieziony ze Skarżyska – fotel na biegunach (tzw. bujak), wyłożony miękkimi poduszkami z wyhaftowanymi przez mamę kolorowymi kwiatkami. Uwielbiałam huścić się na tym fotelu, a nawet spać (zwykle gdy byłam chora lub zbyt „płacziwa” i nie wychodziłam na dwór). Jako ciekawostkę podaję fakt, że na tym fotelu pod koniec wojny, przy forsowaniu Wisły przez Armię Czerwoną „bujął się” sam marszałek Koniew, przyprawiony „z ciekawości” do naszego mieszkanka przez swojego kucharza. „Bujak” bardzo mu się spodobał i żałował, że sam nie ma takiego mebla. Do tego pokoju wchodziło się z malutkiej kuchni, gdzie była kuchenka



Ja w stroju krakowskim z księdzem Łazickim, Urzędów 1941 r.

(na węgiel, z „duchówką” – do pieczenia) oraz niewielki stolik „gospodarczy”.

Z drugiej strony pokoju było natomiast małe pomieszczenie magazynowe zwane „spizarnią”, w którym przechowywało się wszystko, co nadawało się do jedzenia, przeważnie to, co nabierałyśmy w lasach lub dostawałyśmy od mieszkańców Urzędowa i wsi okolicznych (w handlu „wymiernym”). Nasza „spizarnia” miała też bardzo małe okienko i nieraz nocą słyszałam delikatne pukanie w szybę, a mama zrywała się wtedy z łóżka i rozmawiała z pukającym. Mnie nie wolno było, nawet w dzień, zaglądać do spizarki, bo jak się dowiedziałam później, już po wojnie – tą drogą mama kontaktowała się z partyzantami leśnymi, np. „Małym”, wśród których, po roku 1940, był także mój wyczekiwany tatuś – powrócił on do nas z Rumunii, do Urzędowa, ale oczywiście nie mógł się ujawnić.

Od samego początku naszej wyprowadzki z plebanii (plebanie już w pierwszych dniach okupacji zajęli gestapowcy, których głównym „zajęciem” było strzelanie do ludzi i „wyłapywanie” miejscowych Żydów oraz leśnych partyzantów) – szczególną, dyskretną opiekę nad mamą i nade mną sprawował nie tylko kochany ksiądz Jan Łazicki (i surowa „księdzowa”, od której dostałam nieraz klapsa gdy podchodziłam zbyt blisko plebanii zajętej przez gestapowców), ale również gospodarz z Urzędowa



Zdjęcie zbiorowe dzieci z Urzędowa przyjmujących I Komunię (1944 r.). Ja siedzę (z białą kokardą we włosach i w białej pelerynce z królika angora) na dole zdjęcia, u stóp księdza Łazickiego, między dwoma „kawalerami” z Urzędowa



Autorka wspomnień przy domku, w którym spędziła wojnę (fotografia prawdopodobnie z 1995 r., z przyjazdu do Urzędowa ze zjazdu naukowego w Lublinie)

– pan Wojtuszek(?). Pan Wojtuszek był to człowiek nie tylko gospodarzy i zaradny, ale także bardzo, bardzo dobry („porządny człowiek”, jak mówił ksiądz Jan). Ja, jako przestraszone dziecko wojny, bez ojca i z bardzo chorowitą matką, która sama potrzebowała pomocy, zawdzięczam mu bardzo wiele, gdyż przede wszystkim przyprowadził do mnie swoją córeczkę – Felę, aby była moją koleżanką i która została dla mnie pierwszą prawdziwą, niezapomnianą do dzisiaj, przyjaciółką. Później Fela Wojtuszkówna przyprowadziła, chyba swoją krewną, Kazię Tomaszewską i odtąd byłyśmy nierozłączne podczas wojny i spotykałyśmy się prawie każdego dnia (robiłyśmy gałgankowe laleczki, wspinałyśmy się na drzewa w sadzie i bawiłyśmy się „w szkołę” lub „w sklep”). Zdobywałyśmy też niekiedy „zapłatę” (czyli coś do jedzenia) np. za pilnowanie gospodarzom owocujących drzew w sadach, aby chłopaki-łobuziaki nie zrywały niedojrzałych owoców, lub za zbieranie kłosów zbóż na polach po żniwach. Drugim naszym szczęśliwym darem od pana Wojtuszka były 2 pary królików (jedna para to były „angory”, druga – „szynszyle”). Króliki zostały zainstalowane w klatkach w naszym ogródku i zaraz miały potomstwo ślicznych, małych króliczków. Do nas, głównie mnie i Feli, należało zdobywanie pożywienia dla królików, opieka nad nimi, a także czesanie królików angorowych. Z wyczesanej sierści królików mama Feli robiła nitki „wełny angorowej”, z których z kolei moja mama robiła na szydełku śliczne sukienki i sweterki dla małych dzieci, a mnie i koleżankom zrobiła angorowe, puszyste pelerynki, na procesje kościelne i do I Komunii. Natomiast skórki królików szynszyli (w wielkiej tajemnicy przed nami dziewczynkami, że to się łączy z zabijaniem królików) służyły do wyrobu futerek „na zimę”, a mięso królicze, obok drobiu, stanowiło podstawę naszych mięsnych posiłków.

Podczas okupacji, ja z przyjaciółkami Felą i Kazią, brałyśmy udział we wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce w Urzędowie. Pamiętam chwile radosne (nie było ich za wiele), jak wizytę w naszym parafialnym kościele biskupa Golińskiego, który pochodził z Urzędowa, i podczas jego uroczystego, procesyjnego

przejścia z rodzinnego domu do kościoła parafialnego małe dziewczynki z Urzędowa (a wśród nich ja w stroju „krakowskim, jeszcze przedwojennym”, jak mówiła mama) sypałyśmy kwiatki na czerwony dywan, którym była wyścielona droga procesji). Pamiętam też zdarzenia smutne z życia parafii, jak wykonywane na rozkaz okupanta zdjęcie dzwonu z dzwonnicy przykościelnej (wielu mieszkańców Urzędowa wtedy płakało, tylko ja i Fela nie płakałyśmy, bo spodziewałyśmy się, że wraz z dzwonem zniknie „wstrętne ptaszyno”, tj. puchacz zamieszkujący dzwonnice, który ciągle straszył nas dzieci swoim ponurym, złowróżbnym pohukiwaniem).

A potem trzeba było nauczyć się czytania, pisania i prostych rachunków. Tę konieczną naukę zdobyłam w domu, pod okiem mamy, która korzystała w tym celu z niewielu książek, które były w domu. Czytania, pisanie i „wierszyków” nauczyła mnie mama, korzystając z *Pana Tadeusza*, przy okazji przekazując mnie i moim najbliższym koleżankom (uczyły się wraz ze mną) również podstawową wiedzę historyczną (obowiązkowo recytowałyśmy „na pamięć” nie tylko duże fragmenty *Pana Tadeusza* ale i wiersz Bełzy *Kto ty jesteś – Polak mały*), a nawet wiedzę geograficzną (miałyśmy do dyspozycji globus i mapę Polski). Do szkoły podstawowej najmłodsze roczniki dzieci chodziły niechętnie, bowiem baliśmy się Niemców, którzy często wpadali do szkoły, aby sprawdzić, czego uczą nas nauczyciele i czy wykorzystują do tego obowiązkowe, a zniechęcone przez nas, pisma dydaktyczne typu „Ster”. Ja na przykład do pierwszej klasy podstawówki w ogóle nie chodziłam, tylko uczyłam się w domu i od razu „przeszłam” do klasy trzeciej.

Oczywiście z lat wojennych mam jeszcze bardzo dużo wspomnień, nawet związanych ze swoistą „walką z okupantem” gdy my, urzędowskie dzieci, podczas letnich codziennych wypraw do lasów po jagody, grzyby czy maliny nierzadko przenosiliśmy, ukryte w koszykach lub naczyniach „na jagody”, tajemnicze zawiniątka przeznaczone dla partyzantów, które to rzeczy mieliśmy zostawić w określonych miejscach lasu. Ja z mamą kontaktowałyśmy się najczęściej z partyzantem „Małym”, z którym to w późniejszych latach okupacji miał kontakt mój tato, o czym dowiedziałam się dopiero po wojnie. A lasy znałyśmy (zwłaszcza z ciągłych ucieczek przed Ukraińcami) „jak własną kieszeń” i umieliśmy omijać niebezpieczne miejsca. Mamy na samodzielne nasze wyprawy do lasu pozwalały bardzo często, gdyż jak mówiły: „za drzew patrz na was dzieci oczy waszych ojców czy starszych braci i pilnują was, aby się nic złego wam nie przytrafiło”. Warto też było – o czym przypominał zawsze ksiądz Łazicki – codziennie zmówić modlitwę do swojego Anioła Stróża.

Z tej codzienności okupacyjnej pozostała mi miłość do lasów i do ludzi z Urzędowa, od których nigdy nie doznałam krzywdy, a tylko wiele pomocy i zwyczajnej ludzkiej życzliwości. Do dzisiaj przechowuję też mapkę okolic Urzędowa (mam ją nawet powieszoną nad łóżkiem), nieliczne zdjęcia i wiele dobrych wspomnień, mimo wszelkich okrucieństw wojny.

W roku 1945, po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną, musiałyśmy z mamą (z przyczyn wtedy dla mnie

niezrozumiałych) opuścić kochany Urzędów i przenieść się, na jakiś bliżej nieokreślony czas, do Kraśnika. Pan Wojtuszek furmanką przeprowadzał nas do Kraśnika, a ja i Fela widziałyśmy się wtedy po raz ostatni i nie mogłyśmy przestać płakać, choć, jak mówiono, byłyśmy już „dużymi” dziewczynkami, mimo że miałyśmy dopiero po 10 lat.

W Kraśniku ja z mamą mieszkaliśmy 2 lata (ja kontynuowałam naukę w szkole podstawowej), a tato w tym czasie był we Wrocławiu, do którego nas z mamą sprowadził w 1947 r.

Następne lata życia mojego i moich rodziców były nierozzerwalnie związane z Wrocławiem. Tam też przeszłam wszystkie etapy zdobywania wiedzy i osiągnięcia dojrzałości zawodowej. W roku 1952 skończyłam naukę na stopniu średnim, zakończoną maturą w III Liceum Ogólnokształcącym, po czym rozpoczęłam studia wyższe na Wydziale Farmacji we wrocławskiej Akademii Medycznej. Studia farmaceutyczne ukończyłam w 1956 r. (wtedy były to studia 4-letnie), zdobywając tytuł magistra farmacji. Od razu też, z przyczyn bytowych, rozpoczęłam pracę (według nakazu pracy) w Aptece Społecznej w Oleśnicy (do pracy dojeżdżałam codziennie pociągiem). Jednak, po roku pracy w aptece, okazało się, że praca ta nie spełnia moich aspiracji zawodowych i uzyskawszy (po wielkich staraniach w Ministerstwie Zdrowia) zwolnienie z „nakazu pracy w aptece” zatrudniłam się w charakterze asystenta na Wydziale Farmacji w Katedrze Farmakognozji. Farmakognozja to „stara” nauka o roślinach leczniczych i leku roślinnym (nazwa pochodzi od greckich słów *farmacon* – lek i *gnosis* – wiedza, poznanie). I od tej chwili cała moja późniejsza działalność naukowa i dydaktyczna (50 lat pracy we wrocławskiej Akademii Medycznej), osiąganie kolejnych stopni i tytułów naukowych (doktora n. farmaceutycznych, docenta-doktora habilitowanego, profesora „belwederskiego” i profesora zwyczajnego) oraz działalność edytorska (wydałam kilka książek związanych ze współczesną fitoterapią i tradycyjnym ziołolecznictwem oraz liczne artykuły z tych zagadnień) jest związana z roślinami leczniczymi, lekiem roślinnym i fitoterapią.

Jest to ciekawy, opatrnościowy fragment mojego życiorysu. Myślę tu o Opatrzności Bożej. Wszak z mojego kochanego Urzędowa lubelskiego pochodził sławny, jeden z pierwszych polskich zielarzy-uczonych (dzisiaj nazwalibyśmy go „ojcem polskiego ziołolecznictwa”), żyjący w latach 1500–1573 Marcin z Urzędowa – jest to wspaniała postać polskich nauk przyrodniczych: botaniki, farmacji i medycyny.

Nic więc dziwnego, że ja, profesor farmakognozji i botaniki farmaceutycznej, żyjąca kilka wieków później (a której dzieciństwo związane było z Urzędowem), obrałam sobie za wzór w prowadzeniu badań naukowych z zakresu farmakognozji oraz popularyzacji ziołolecznictwa – Marcina z Urzędowa, o którym tak często mówiłam studentom na wykładach.

Wspomnienia prof. dr hab. Elizy Lamer-Zarawskiej przekazała redakcji „Głosu Ziemi Urzędowskiej” pani Anna Depa.

Stanisław Gajewski ps. „Staś”

Bęczyn załączkiem konspiracji

Podczas okupacji niemieckiej w roku 1939–1940 młodzież zaczęła myśleć o walce z okupantem. Mężczyźni zdolni do wzięcia broni do ręki tworzyli pięcioosobowe grupki pod nazwą „piątka” w organizacji Związku Walki Zbrojnej, w skrócie ZWZ. Pięcioosobowe dlatego, aby podczas aresztowania przez okupanta i tortur nie zdradzić większej liczby osób. Do piątki weszli: Bolesław Wyrostek, Władysław Gajewski, Konstanty Brożek, Gabriel Sadowski i Jan Surdacki, syn Ignacego. Po sąsiedzku mieszkało dwóch Janów Surdackich: młodszy Jan Surdacki, syn Władysława, zwany przez mieszkańców Bęczyna – Podlesia „Interesiak”, starszy Jan Surdacki, zwany „Jaś Ignacy – Chlebuś” był bardziej lubiany przez sąsiadów. Mieszkałi w starych zabudowaniach drewnianych bliżej lasu Wolski Bór i wśród lasów chłopskich. W podwórzu studnia z cembrowną drewnianą i w głąb obudowana smolnym drewnem. Zabudowania Ignacego Surdackiego, ojca „Jasia Chlebusia” podczas pierwszej wojny światowej w latach 1918–1920 nie spaliły się, bo były nieco zagajone lasem. Po wojennym pożarze wszystkich zabudowań Bęczyna w zabudowaniach Ignacego Surdackiego zamieszkało około 20 rodzin. Z tego powodu rodzina Ignacego Surdackiego zasłynęła jako rodzina dobrych, uczciwych ludzi. Syn Ignacego „Jaś Chlebuś” Surdacki chlubił się tą opinią do końca życia. Dom Jasia podczas działań partyzanckich w czasie okupacji niemieckiej, jak i okupacji sowieckiej, stanowił koszary, a nawet szpital partyzancki.

Jaś posiadał uprawnienia kombatanckie pod nazwą „Zaświadczenie nr 75548/88092, Surdacki Jan, urodzony 13.11.1917 r. w Urzędowie” wydane dnia 13.11.1992 r. przez Urząd do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie. Należąc do organizacji: od 09.1939 r. wojna obronna, do Armii Krajowej – nie podano daty. Od 09.1944 do 09.1945 pobyt w więzieniu PRL za działalność polityczną. Według świadków Jan Surdacki syn Ignacego złożył przysięgę w Armii Krajowej wiosną 1942 r. przed dowódcą Rejonu I Hipolitem Cieszkowskim ps. „Odyniec” i przyjął pseudonim „Pręt”.

Jaś Surdacki „Pręt”, żołnierz placówki AK Urzędów, nie tylko strzegł bezpieczeństwa swoich kolegów, ale czuwał też nad bezpieczeństwem ludności cywilnej – zbierał informacje od łączników o ruchach Niemców i w razie łapanek czy rekwizycji chronił ich w znanych mu lasach

czy kryjówek. Niejednokrotnie jako łącznik i pomocnik pod wodzą Jasia „Pręta” przed wielkim zagrożeniem wynosiliśmy ciężko rannych żołnierzy AK i BCh w głąb lasów, tak za okupacji niemieckiej, jak i sowieckiej. Niejednokrotnie przed rekwizycją uciekaliśmy z dobytkiem naszych gospodarstw i resztkami zboża do lasu pod kierownictwem „Pręta”. Wiele osób nie wiedziało kim jest „Pręt”, aby nie doszło do dekonspiracji Jasia Surdackiego. „Pręt” przed zagrożeniem rekwizycją lub łapanką, rozstawiał łączników z różnych stron lasu, bo nie wiadomo było,

z której strony wróg będzie atakował. Łącznik miał za zadanie powiadomić dowództwo za pomocą położenia oznaczonego drewna na wyznaczonym stosie drzewa w lesie, aby wróg nie zorientował się, że to hasło. Łącznikami byli albo dziewczynka, albo chłopiec w wieku około 10 lat. Łącznikami w sprawach partyzanckich byli wybrani chłopcy już od 13 lat wżwyż. Żołnierze z placówki AK byli wzywani do akcji bojowych cięższych, gdzie była potrzebna większa siła. „Pręt” i jego koleżdy brali udział w niektórych akcjach, jak atak na pociąg lub na więzienie.

Brałem udział w akcji „Burza”, gdzie widziałem również „Pręta”. Druga akcja z moim udziałem miała miejsce 3 września 1944 r. a była to potyczka z MO w Bęczynie. Kilkunastu żołnierzy AK w nocy z 2 na 3 września nocowało

w stodole Jasia „Pręta”, która stała w lesie. Rano przybiegł do nas mieszkaniec Bęczyna Stefan Wyrostek ze skargą, że do jego domu przyjechali milicjanci z posterunku MO Urzędów celem zabrania mu konia, którego partyzanci AK odebrali Niemcom. Mój brat Tadeusz Gajewski ps. „Nagan” mówił, że przecież tego konia zabraliśmy Niemcom, więc milicja do konia nie ma prawa. „Chodźmy wytłumaczyć milicjantom”. Ścieżką poza stodołami pobiegliśmy na rozmowę z milicją. Pierwszy biegł „Nagan”, a za nim reszta, „Pręt” również. Naprzeciwko podwórza Wyrostka „Nagan” trzykrotnie krzyknął: „Milicja nie strzelać, chcemy porozmawiać”. Z podwórza Wyrostka padł podwójny strzał. „Nagan” upadł. Wywiązała się strzelanina. Padło trzech milicjantów. Jeden z milicjantów skrył się w stodole, ale zauważył to Kwiryn Surdacki ps. „Dzik”. Kwiryn krzyknął: „Uwaga! Milicjant z bronią w stodole”. Mój starszy brat Gabriel Gajewski ps. „Oset” krzyknął: „Milicjant wychodź, bo stodołę podpalimy”. Milicjant – Henryk Zajac z Moniak – wyszedł



Jan Surdacki ps. „Pręt”

z automatem przewieszonym na ramieniu i prosił aby go nie zabijać, to wyda zabójcę żołnierza AK „Nagana”. Oskarżył komendanta MO Czesława Zdyba ukrytego w stogu siana. Zdyb wyszedł z siana i oświadczył, że nie strzelał do akowca, natomiast H. Zając zdecydowanie oskarżał Zdyba. Zdyb został zastrzelony, a Zając zwolniony; żywy pobiegł na Moniaki. Z głowy ciężko rannego „Nagana” lekarz wy dostał kulę z broni, którą posiadał Henryk Zając. Zając wydał na śmierć swojego niewinnego dowódcę, a sam cieszył się życiem.

Za parę dni został aresztowany Jaś Surdacki „Pręt”, którego wydała agentka UB Marta Kotowska. Podpis Jana Surdackiego znalazłem na ścianie katowni ubowskiej w Lublinie, ul. Krótka 4. Ja jako uczeń szkoły średniej w Lublinie również zostałem aresztowany politycznie jako żołnierz AK i osadzony w tej katowni. Następnie

zostałem przewieziony do drugiego aresztu UB przy ul. Szopena 15 w Lublinie, a po ciężkim śledztwie do więzienia na Zamek Lubelski, gdzie czekałem na wyrok. Zanosilo się na srogi wyrok bo zarzuty były następujące: artykuł 26 – nielegalna organizacja Armia Krajowa, art. 4 – posiadanie broni, art. 7 – szpiegostwo, bo korespondowałem z wujkiem mieszkającym we Francji. Za samo szpiegostwo kara śmierci. Z braku konkretnych dowodów lubelski adwokat Edmund Wlazlacki udowodnił, że nie mają ubowcy racji i muszą mnie zwolnić. 6 miesięcy niewinnej katorgi w śledztwie odbiło się mocno na moim zdrowiu. Z Jasiem Surdackim żyliśmy do końca jego życia po bratersku. Podczas jego ożenku uczestniczyłem w ich ślubie i weselu. Żyliśmy tak rodzinnie, że nawet prosił mnie na ojca chrzestnego do ich najstarszego syna Jasia. Do dnia dzisiejszego z całą ich rodziną żyję bardzo blisko.

Józef Resztak

Powrócę tu...

*Każdy z nas jest Odyssem,
Co wraca do swej Itaki*

L. Staff

Kiedy z maturą w kieszeni jechałem pociągiem do Warszawy na egzaminy wstępne na studia polonistyczne, wszystko stawało się dla mnie wielką niewiadomą, czy zdam pomyślnie te egzaminy, czy szczęśliwy los się do mnie uśmiechnie i znajdę się na liście studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Nawet w najśmielszych marzeniach ani na chwilę nie pomyślałem, że to nowe, wielkie i obce dla mnie miasto pozostanie już na zawsze miejscem pracy i stałego zamieszkania. Znałem trochę miasto powiatowe Kraśnik, byłem krótko dwa razy w Lublinie i do 17. roku życie moje obracało się wokół rodzinnej wsi Leszczyna oraz sąsiadujących z nią: Majdanu Radlińskiego, Ludwinowa, Skorczyc, Popkowic i miasta Urzędów – jak to się wówczas mówiło.

Ta pierwsza podróż w nieznane dłużyła się i skłaniała do refleksji nad minionymi 17 latami spędzonymi w większości w podstawówce i szkole średniej. Przecież w kraju nie umilkły jeszcze na dobre echa wojennej kanonady, gdy jako 6-latek rozpoczynałem edukację w sąsiedniej wsi, Majdanie Radlińskim. Poszedłem rok wcześniej, gdyż nie miałem wokół żadnego rówieśnika, a wszyscy moi koledzy byli o rok starsi – Józef Wnuk, Józef Zdybel, Jan Wołoszyn. Ten „wysyp” Józefów spowodowany był postawą ówczesnego proboszcza parafii w Popkowicach – księdza Pawła Zięby, który chciał w ten sposób uczcić stulecie urodzin księdza Józefa Bagrowskiego – najdłużej piastującego urząd proboszcza w tej parafii – prawie pół wieku (47 lat). Tę pierwszą klasę wspominam z rozrzewaniem nie z racji początków nauki, ale licznej rodziny Woźników, ze strony mojej mamy, którzy w różny sposób umilali mi czas słodkościami. Zwłaszcza smak pączków posypanych cukrem pudrem cioci Pietrzykowej pamiętam do dnia dzisiejszego. Uczyliśmy się w pomieszczeniach

wynajmowanych u gospodarzy. Dlatego już w roku następnym znaleziono inne lokum w Leszczynie tak blisko mojego domu, że mogłem na przerwie wyskoczyć na małą kanapkę. Ale już w drugim półroczu tej klasy chodziliśmy pieszo do kościoła w Popkowicach na naukę religii, gdzie ks. Paweł Zięba przygotowywał nas do pierwszej komunii świętej.

Jakąż miłą niespodzianką był dla mnie prezent, który kilka lat temu otrzymałem od kuzynki, Danusi Burej. Była to książka Anny Wnuk, mieszkanki mojej wsi, prezentująca 600 lat historii parafii Popkowice. Autorka sumiennie i skrupulatnie – jak przystało na historyka – przybliżyła czytelnikowi z dawką osobistego uczucia ciekawe dzieje mojej parafii. Wśród zgromadzonego pieczołowicie w tej książce materiału znalazło się grupowe zdjęcie komunijne, na którym odnalazłem siebie, Józefa Zdybla, Jana Wołoszyna, Jana Niedzielskiego, a inne młode twarze zatarła moja pamięć, bo to zdjęcie przecież liczy sobie 67 lat.

Po Majdanie Radlińskim i Leszczynie przyszła nowa wieś – Skorczyce, gdzie w pomieszczeniach podworskich ukończyłem klasę III i IV, by ostatnie 3 lata podstawówki spędzić w Ludwinowie.

Dalszy etap tej mojej szkolnej odysei zaprowadził mnie do Urzędowa, gdzie spędziłem 3 lata – klasę VIII, IX i X. Zajęcia te odbywały się w Domu Ludowym, gdzie wygospodarowano kilka pomieszczeń do nauki. Mile wspominam kadrę nauczycielską, a zwłaszcza polonistkę Teodozję Kieruczenko, która osobiście przywoziła z Lublina wypożyczone lektury szkolne, gdyż biblioteka nasza była zbyt uboga. Po trzech latach nauki w Urzędowie przeniesiono naszą szkołę do Kraśnika Fabrycznego i byłem pierwszym rocznikiem, który w roku szkolnym 1954/1955 otwierał listę (30) absolwentów II Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Reja, a za rok ta właśnie szanowna Alma Mater obchodzić bę-

dzie 60-lecie istnienia. Jestem więc częścią tej odległej historii.

Wróć jeszcze na chwilę do mojej kochanej wsi. Po przeszło półwieczu wiele się zmieniło w obrazie wsi z mojego dzieciństwa. Gdy opuszczałem ją, jedynym osiągnięciem cywilizacyjnym było światło elektryczne i „kolchoźniki” – czyli głośniki radiowe. Drogi porządnej nie było i po wiosennych roztopach chłopcy z trudem przejeżdżali swoimi konnymi zaprzęgami. To była ta siermiężna rzeczywistość Polski lat 50. Jeśli ją dzisiaj wspominam z rozrzewnieniem i nostalgią – to nie jest to tęsknota za tamtą szarzyzną i biedą lat powojennych, ale za moją młodością i beztroską, co patrzyła na świat przez różowe okulary. W latach mojej młodości Leszczyna była „cicha i spokojna” – jak z pieśni Jana Kochanowskiego. Jednocześnie bardziej wesoła, ludzie gadatliwsi, mający czas na wszystko, a dzisiaj jakby się zamknęli w swych siedliskach, zabetonowali od reszty świata i porozumiewają się nie bezpośrednio, ale telefonicznie. Konie w zaprzęgach ustąpiły miejsca mechanicznym. Nawet w najśmielszych wyobrazeniach nie sądziłem, że moja wieś stanie się zagłębiem malinowym. Gdzie te wiejskie zabawy pod gołym niebem, z orkiestrą dętą, piwem beczkowym i dechami do tańca przygotowanymi specjalnie na tę okazję. Dzisiaj Leszczyna dorobiła się okazałego budynku szkolnego, remizy strażackiej, bieżącej wody, gazu. Mieszkańcy dbają o miejsca kultu (kapliczka, krzyże przydrożne), a asfaltowa droga łączy Lublin z Kraśnikiem, co ułatwia kontakt ze światem. Najpiękniej się prezentuje obok Leszczyny Majdan Radliński z okazałą kaplicą, choć i Ludwinów pięknieje z dnia na dzień. A kiedy wjeżdżam samochodem do Urzędowa, z dumą

patrzę na odnowiony rynek, bo jest to nie tylko wizytówka miasteczka, ale także potwierdzenie gospodarskiej troski wójta, którego wysiłki i starania są widoczne na obszarze całej gminy.

Jako najmłodszy z rodzeństwa, opuściłem rodzinne strony, ale moje ściśle kontakty rodzinne spowodowały, że niemal na bieżąco śledzę zmiany, jakie ubogacają moją wieś.



Józef Reształ w domowym zaciszu

młodym redaktorem otwierały się drzwi ówczesnych „vipów”, wydawało mi się, że dla mamy ruszę z posad bryłę świata, że uczynię wszystko, by przedłużyć to gasnące życie. No i tak zrobiłem! Zabrałem ją do Warszawy i zacząłem leczyć prywatnie. Wtedy rolnicy nie mieli jeszcze żadnych rent, a kompleksowe leczenie wymagało początkowo stałej pielęgniarki. Dom stał się szpitalem. Ale opłaciło się. Przedłużyłem jej życie o całe 6 lat. Jednak

to prawda, że wiara przenosi góry, zwłaszcza gdy zagnieździ się w młodym umyśle. Może i młody Adam Mickiewicz miał rację, gdy pisał: „Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”. Czas poświęcony mamie spowodował, że musiałem jednak niemal z dnia na dzień zrezygnować z pracy dziennikarskiej; nie mogłem ciągle wyjeżdżać służbowo, zostawiając mamę samą. Wybrałem pracę nauczycielską w szkole średniej – w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego. Potem przyszły szkoły średnie zawodowe – Liceum Ekonomiczne im. Stanisława Staszica i Poligraficzne im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Pracę zawodową łączyłem ze studiami podyplomowymi na polonistyce. Potem ukończyłem roczny kurs reżyserski ze specjalnością – małe formy teatralne. Dzięki temu prowadziłem przez 10 lat teatr młodzieżowy przy domu kultury na Żoliborzu (ul. Ceglowska). Z grupą moich „aktorów” zawędrowałem do Czarnolasu, gdzie



Józef Reształ wśród uczestników centralnego etapu konkursu reżyterskiego

w Muzeum Jana Kochanowskiego zaprezentowaliśmy widowisko słowno-muzyczne na temat filozofii życiowej największego poety doby renesansu. Po skończonym spektaklu szukaliśmy na próżno w parku słynnej czarno-leskiej lipy opiewanej we fraszkach. Lipy nie było, ale nastrój i atmosfera dworku sprzyjała refleksji nad ludzkim życiem, nad przemijaniem, nad „szlachetnym zdrowiem”.

Ciekawość poznawania świata sprawiła, że ukończyłem roczny kurs pilotów wycieczek zagranicznych i w okresie wakacyjnym lub zimowej przerwy semestralnej w szkole pilotowałem grupy wycieczkowe do republik dawnego Związku Radzieckiego lub demoludów – jak określano skrótowo dawne kraje demokracji ludowej pozostające w orbicie wpływów komunistycznego „kolosa na glinianych nogach”, jak to potwierdziła historia rozpadu owych republik.

Burzliwe losy zaprowadziły mnie też do Niepokalana, gdzie przez kilka lat uczyłem języka polskiego alumnów i uczniów niższego seminarium duchownego. Przygoda ta trwała póki franciszkanie nie dorobili się

swojego polonisty wśród zakonników, który ukończył stosowne studia na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Najkrócej jednak trwała jeszcze jedna przygoda. Ciekawość oceny mojej osoby przez innych sprawiła, że podjąłem decyzję udziału w ogólnopolskim konkursie recytatorskim dla nauczycieli. Konkurs ten obejmował obowiązkowo poezję i prozę. Zwycięsko przeszedłem przez trzy etapy: dzielnicowy, warszawski i wojewódzki. Dotarłem także do etapu centralnego, w którym udało mi się zdobyć trzecie miejsce!

Ani się spostrzegłem, jak minęły 52 lata nieprzerwanej pracy zawodowej. „Upływa szybko życie, jak potok płynie czas” i tylko dwie operacje kręgosłupa wyeliminowały mnie z dalszej czynnej pracy zawodowej, ale w zaciszu domowym, a latem na działce, wracam powoli do sprawności fizycznej i rokrocznie odwiedzam krewnych, groby moich rodziców i rodzeństwa spoczywających na cmentarzach w Popkowicach, Urzędowie i Ratoszynie.

Już niedługo na stałe powrócę tu, gdzie czeka na mnie miejsce w rodzinnym grobie obok rodziców i najstarszej siostry. Tymczasem nie liczę godzin i lat, a życie mija.

Iwona Mirońska-Gargas

Sentymentalna podróż w czasie

Rzadko bywam w Urzędowie. Zazwyczaj przejazdem, jadąc z Józefowa, gdzie mieszka rodzina mojego męża, do Kraśnika, żeby odwiedzić moją przyjaciółkę. Odkąd przestałam pracować w urzędowskim Gminnym Ośrodku Kultury, w dawnej mojej pracy byłam tylko raz, kilka lat temu. Spotkaliśmy się – parę osób – z inicjatywy Józia Barana. To było szalenie sympatyczne spotkanie. Kiedyś z Ulą Gozdalską-Słowik planowałyśmy zebrać wszystkich starych bywalców GOK-u, miłośników teatru, ale każdy żyje swoim życiem i trudno byłoby o takie spotkanie. Rozproszyliśmy się po świecie, niektórzy odeszli na zawsze. Niedawno odebrałam dziwny telefon. Dzwoniła pani Katarzyna Tomaszewska z „Głosu Ziemi Urzędowskiej” z prośbą, abym napisała do „Głosu” wspomnienia z okresu mojej pracy w Urzędowie. Nie przypuszczałam, że kogoś może interesować tak odległa przeszłość i to, czym zajmowała się grupka młodych wówczas ludzi. Ale bardzo proszę, chętnie podzielę się wspomnieniami. Oto, co pozostało w mojej pamięci.

Jesień roku 1977. Moja pierwsza praca. Instruktor teatralny w Gminnym Ośrodku Kultury w Urzędowie. Najpierw pracowałam tam społecznie, a od listopada zostałam zatrudniona na etacie. Do pracy przyjmowała mnie pani Kazimiera Sabeł – najmiej wspomniany przeze mnie dyrektor ze wszystkich moich miejsc pracy – życzliwa, opanowana, pogodna, konkretna. Osoba, po której w „spadku” miałam przejąć obowiązki prowadzenia zespołu teatralnego. Mój Boże, jak ja się bałam! Nasłuchałam się opowieści o tym, jaki to wspaniały zespół istniał pod kierunkiem pani dyrektor, jakie odnosił sukcesy! A ja – młodziutka instruktorka zaraz po szkole.

Doświadczenie – żadne. Umiejętności, jak się niebawem okazało, również żadne. Wiedza zdobyta w szkole, która miała pomóc mi w wykonywaniu zawodu, okazała się marniutka. Nigdy nie zapomnę pierwszej lekcji, jaką otrzymałam od instruktorki z Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie (nie pamiętam jej nazwiska, wiem tylko, że niestety nie żyje). Otóż mój pierwszy program poetycki, który wyreżyserowałam z nowo powstałą grupą „Kameleon” nosił tytuł *Wieczór u Nataszy*. W programie wykorzystaliśmy wiersze i piosenki rosyjskie i radzieckie, a przygotowaliśmy go na okoliczność rocznicy Wielkiej Socjalistycznej... itd. – takie czasy. Program osadzony był w realiach współczesnych, a pretekstem do zaprezentowania tekstów miały być urodziny Nataszy. No i przyjechała pani z Lublina, żeby obejrzeć nasz spektakl i zakwalifikować go do przeglądu wojewódzkiego. Zapytała mnie, czy ja, idąc do koleżanki na urodziny, też ubrałabym siebie i przyjaciółki w dziwaczne, długie, prawie wieczorowe sukienki? Na przegląd nie zakwalifikowaliśmy się. A ja otrzymałam pierwszą lekcję instruktorskiego fachu i pokory. Drugą „sprezentowała” mi moja późniejsza koleżanka, również pracownica WDK – Halinka Tomaszewska. Miała oczy wielkie jak spodeczki od filizanek, gdy zobaczyła na próbie Adama Krzykacza taszczącego na scenę walizkę. Na pytanie: „Po co nam ona?” odparłam równie zdziwiona, że przecież pierwszy tekst naszego spektaklu zaczyna się słowami: „oto dziś znowu powracam tęsknotą gnany/ do swego kochania chłopskiej pieśni”, no to jak powracam to z podróży, to z walizką! Ogłędnie rzecz ujmując, pomysł ten nie zyskał aprobaty Haliny. I tak zaczęłam uczyć się od starszych

koleżanek fachu i myśleć teatralnie, symbolami, stosować proste środki wyrazu.

A spektakl powstał. Nosił tytuł *Boso po rosie*. Grali w nim: Ula Gozdalska, Irenka Kaczmarska, Władek Kuśmiderski, Mirek Chmielewski i Adam Krzykacz. No i czasem ja – w zastępstwie za dziewczyny. Spektakl składał się z tekstów pięknej polskiej poezji ludowej. „Czy ziemia, po której chodziłem/ jest cięższa?/ czy łąka, którą kosiłem/ daje lepsze siano?/ czy kobieta, którą kochałem/ jest lepsza?/ Jeżeli nie – to po co żyłem” – mówił w nim Adam. „Lubię piękno ziemi i kocham życie/ i to wzruszenie, gdy serce staje na baczność,/ kiedy spotyka piękną melodię/ lub poezję, jak słońce, naszego Mickiewicza [...]” – a ten fragment mówił zdaje się Mirek? I jeździliśmy na przeglądy teatralne, i przywoziliśmy nagrody. Z Tarnowa, z Paczkowa. Jazda w nieskończoność trzęsącym się



Od lewej siedzą: Irena Kaczmarska, Halina Atras, Iwona Mirońska-Gargas, Adam Krzykacz, Urszula Gozdalska-Słowik. Zdjęcie zrobione w Jaworznie, podczas festiwalu teatralnego. Na fotografii brakuje Mirka Chmielewskiego, który robił to zdjęcie. Na zdjęciu z prawej: Gosia Kluś – „Plastuś-Groszek” podczas interpretacji *Plastusiowego pamiętnika* w Lublinie

roburem! W tej podróży towarzyszyła nam niezapomniana Halinka Atras – plastyczka z GOK-u, nasz dobry duch. A na wyjazdach wspólne oglądanie innych prezentacji teatralnych, pierwsza trema, ale też pierwsze radości i pierwsze satysfakcje z własnych poczynań. Występy i... coraz większy apetyt na teatr, na scenę, większa ilość prób i zajęć czysto warsztatowych. Na tych zajęciach robiliśmy coraz więcej ćwiczeń niezbędnych w pracy recytatora i aktora (także amatora!) na scenie. Nasze wyjazdy na konkursy i na warsztaty do Rybczewic, czy moje samodzielne na szkolenia, dawały nam możliwość uczestniczenia w zajęciach prowadzonych przez powstałe w tamtych latach takie późniejsze sławy, jak Teatr Provizorium czy Ośrodek Praktyk Teatralnych Gardzienice. O, jakież to było odkrywanie teatru! I smakowanie!

Mniej więcej po roku do zespołu dołączyli Piotr Skiba, którego ojciec był nowym kierownikiem szkoły i właśnie sprowadzili się do Urzędowa, i Bożena Chmielewska, siostra Mirka. A z biegiem lat pojawiały się nowe pomysły, nowe realizacje, nowi ludzie. Bo jedni odchodzili na studia, zakładali rodziny, a inni przychodzili: zawsze radosny, trzeci z rodziny Chmielewskich – Krzysio, którego już niestety nie ma między nami, Ewa Lis, Ania Klecha, Gosia Rak. Przez jakiś czas był w naszym zespole także

Zdzisiek Reszka. To było już w roku 1981. A w 1982 na zajęcia teatralne przyjeżdżał też przez kilka miesięcy z Józefowa Grzegorz Gargas, który dwa lata później został moim mężem. Ale trzon nowego składu grupy o zmienionej nazwie na Amatorski Zespół Małych Form Teatralnych stanowili: Romek Dzikowski, Michał Moryc, Gosia Cichoń, Iwona Różycka, Józio Baran, który w jakimś programie okolicznościowym śpiewał (po długich namowach) z moim towarzyszeniem na pianinie. Mój Boże, pamiętam nawet tekst piosenki! „Nie wiem czy wiedziałeś o tym/ że dziewczyny są jak kwiaty/ a ich uśmiech przypomina słońca blask”. To zdaje się w tym składzie miał miejsce nasz najdłuższy wspólny wyjazd na dwutygodniowe warsztaty teatralne do Rybczewic. Powstał tam piękny poetycki spektakl *Jakże mi rzucić pole złote* złożony z tekstów autorstwa Jana Pocka i grany w cudnej



przestrzeni plenerowej! Ze spektaklem tym wróciliśmy jeszcze do tej przepięknie położonej miejscowości, aby zaprezentować go mieszkańcom internatu, który udzielił nam gościny podczas warsztatów. Nie pamiętam tylko w jakich okolicznościach pojawiła się malutka, ośmioletnia Gosia Kluś o sympatycznych przezwiskach „Groszek” (bo taka mała) i „Plastuś” (bo na Małym Konkursie Recytatorskim rewelacyjnie interpretowała fragmenty *Plastusiowego pamiętnika* Kownackiej). Została zaproszona przez WDK jako „su-

port” na finały wojewódzkie Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. To było duże wyróżnienie! Który to był konkurs? Chyba 27. A rok? 1982. Z Gosią „Plastusiem” widziałyśmy się kilka lat temu na spotkaniu w GOK-u. Nooo, trochę wyrosła. Ale z „Plastusia” mam nadzieję, że nie do końca.

Za to doskonale pamiętam Ogólnopolskie Konkursy Recytatorskie. Ula Gozdalska, Mirek Chmielewski, Adam Krzykacz, Piotr Skiba i Irenka Kaczmarska. To z nimi zaczynałam moją największą życiową przygodę. Przygodę z Żywym Słowem, z Poezją i Wielką Literaturą Prozatorską. Eliminacje gminne w naszym ośrodku kultury, powiatowe w Kraśniku, szczebla wojewódzkiego w Lublinie (ileż przegadanych nocy!) i wyjazd z Ireną na eliminacje międzywojewódzkie do Białegostoku. Nagrody i wyróżnienia, obowiązkowe prezentacje nagrodzonych tekstów przed moimi rodzicami w Bobach na organizstówce (tato mój był organistą). Do dzisiaj pamiętam niektóre teksty: Piotrusia „Ameryko, dałem ci wszystko i teraz jestem niczym [...]”, Irki, z jej ostatniego OKR-owego konkursu „Na strychu śpi mój powrót –/ kufer blachą okuty, walizy./ Cała moja ojczyzna:/ paszporty, obywatelstwa, emigracyjne wizy [...]” Irenko, chyba tym OKR-owym wierszem Wierzyńskiego wywróżyłaś sobie

swój los. Ale wówczas, podczas stanu wojennego, kto mógł przypuszczać, że zamieszkaż za oceanem.

Wszystkie te konkursy, grane spektakle, wyjazdy i cała nasza codzienna praca nad zdobywaniem warsztatu to była dla nas ogromna frajda. Ale przede wszystkim było to wzbogacanie samego siebie o znajomość literatury, o umiejętności aktorskie, doznania i emocje. To było poznawanie drugiego człowieka, nawiązywanie przyjaźni i sympatii, a nawet miłość. Przecież właśnie zajęcia teatralne w GOK-u zbliżyły do siebie Irenę i Adama Krzykaczów. A wcześniej Ewę Rollę i Krzysia Witka. To było pierwsze „teatralne” małżeństwo. Równie mocno wryły się w moją pamięć wyjazdy ze spektaklami na zaproszenia do Lublina, Chełma, Rybczewic, Rzeszowa, Kurowa – gdzie urodził się poeta ludowy Jan Pocek, gdzie pokazywaliśmy nasze *Boso po rosie* i gdzie spędziliśmy niezapomniane chwile: Bożena recytująca dla nas



Bożena Chmielewska (z prawej strony) i Iwona Mirońska-Gargas – zdjęcie z próby spektaklu *Ponad ludzką miarę*

w leśnej, nocnej, czerwcowej scenerii mickiewiczowskie *Lilije* i Adam leczący nieprawdopodobnie opuchniętą dłoń, bo grając spektakl i mówiąc wyjątkowo długi tekst chciał do końca zachować się profesjonalnie (jak mu się zdawało) i nie oganiać się od komarów. W efekcie tak go pocięły, że potrzebna była interwencja lekarza. I jeszcze wzruszająca rozmowa, wypełniona komplementami, ze Stanisławem Buczyńskim, jednym z autorów wierszy, które interpretowaliśmy. Pamiętam, jak dzięki staraniom Uli Gozdalskiej zaproszono nas do Lublina, żebyśmy zaprezentowali studentom medycyny *Dwunastu* Aleksandra Błoka. Spektakl dosyć odważnie zagrany, zważywszy na jego treść i ustrój wówczas panujący. Pojechaliśmy. Na miejscu okazało się, że w klubie studenckim mają awarię oświetlenia i wtedy Romek z Michałem wrócili do Urzędowa po nasz punktowiec. To było czyste szaleństwo, ponieważ obaj grali w spektaklu. A trzeba było dojechać na dworzec PKS, później do Kraśnika, do Urzędowa „4”-ką (czy jeździ jeszcze taki autobus z Kraśnika?), no i tą samą drogą wrócić. O telefonii komórkowej nikomu się jeszcze nawet nie śniło, wobec czego do momentu ich powrotu nie wiedzieliśmy czy zdążą. Przyjechali kiedy widzowie zapełniali już salę. Rozgrzewkę artykulacyjną robili w autobusach. To musiał być dla współpasażerów c i e k a w y widok. No właśnie. W tym miejscu chcę też wspomnieć moją mamę, najwierniejszego naszego widza,

która nie opuściła ani jednego przedstawienia! A kiedy GOK był w remoncie i nasze prezentacje odbywały się na „małej scenie” – jak mawiała Halinka Atras – czyli w szkole podstawowej, mieliśmy zwyczaj powrotu do GOK-u sznureczkiem, przez środek rynku, w jednej ręce niosąc rekwizyty a wolną trzymając jeden drugiego z tyłu za płaszcz czy sweter i śpiewając. I tak kroczyliśmy troszkę ku zdziwieniu obserwatorów tego cudacznego pochodu. Pochodu, który z a w s z e zamykała moja mama, śpiewająca z nami ile sił w gardle.

Ale nasze spektakle prezentowaliśmy także bliżej: w Józefowie, w Bobach, gdzie mieszkali wówczas moi rodzice, czy w Kraśniku. Właśnie w Kraśniku przyszło doświadczyć mi czegoś wyjątkowego. Grałyśmy już po raz któryś z Bożenką Chmielewską spektakl *Ponad ludzką miarę*. Tematyka bardzo trudna, bo były to wspomnienia dwóch więźniarek, które przeżyły Ravensbrück. Po spektaklu, jak po każdym przez nas granym, zapadła długa, bardzo długa cisza. Ta cisza była dla nas zawsze największym dowodem uznania. Oznaczała, że potrafiłyśmy oddać grozę tamtych wydarzeń, poruszyć widownię. Widzowie długo pozostawali na swoich miejscach, nikt nie wychodził z sali, nikt się nawet nie ruszył, nikt nie klaskał. (Tylko raz jeden kiedyś, po którymś ze spektakli, jakiś widz wyrwał się z brawami, ale były to dwa, może trzy nieśmiałe uderzenia w dłonie). No i po tym występie w Kraśniku siedzieliśmy w milczeniu radząc sobie z emocjami, które pojawiły się w nas grających i w widzach. I wtedy podszedł do mnie i do Bożeny starszy pan. Podwinął rękaw i pokazał nam wytatuowany na lewym przedramieniu numer. Powiedział: „Dziękuję. Także w imieniu mojej żony. Ona była w tym obozie”. I dopiero wówczas usłyszeliśmy prawdziwą ciszę.

Takich właśnie emocji dostarcza teatr.

Od roku 1993 prowadzę w Szczecinie Teatr Słowa *Proscenium*. Moi recytatorzy zdobyli ponad 250 nagród i wyróżnień na ogólnopolskich konkursach recytatorskich, w tym Grande Prix 55. OKR-u; jestem jurorem oceniającym konkursy także poza granicami mojego województwa; prowadzę warsztaty recytatorsko-teatralne; pomagam młodym ludziom spełniać teatralne marzenia (trzydziestoro z nich studiowało bądź studiuje w szkołach teatralnych); jestem organizatorem Jesiennego Turnieju Recytatorskiego „Romantycznie” (na którym laury zdobywał mój „recytatorski wnuk” – Kacper Sulowski, wychowanek Józia Barana) i cały czas, prowadząc moją działalność zawodową, towarzyszy mi pamięć o ludziach, z którymi stawiałam swoje pierwsze instruktorskie kroki. Świadomość, że to na ziemi lubelskiej budziła się moja miłość do Słowa i do Poezji. Pożółkły kartki scenariuszy naszych spektakli (do tej pory mam większość z nich), zatarło się w pamięci wiele wydarzeń, ale te, które pozostały, są cały czas bardzo wyraźne i budzą we mnie najczulsze wspomnienia. To one – te wspomnienia zawodowe – sprawiają, że Urzędów pozostanie dla mnie miejscem, z którym będę się zawsze identyfikować.

W czasach kiedy mieszkalam w Urzędowie nazywałam się Iwona Dzikowska.

P.S. Jeżeli kogoś pominęłam, wspominając tak odległe czasy, serdecznie przepraszam.